Dziś w numerze: R. BINKOWSKI **W Czastarach** F. BĄBOL **Historia młodości, której nie ma...** J. WILMAŃSKI **Listy spóźnione o parę stuleci** H. CZARNECKI **Egzamin wstępny** A. GRUN **Krzepkie drzewo** S. JAŚKIEWICZ **Tajemnice dyplomatycznych sejfów z roku 1939**

odgłosu

MIEJSKA ODZNAKA M. ŁODZI

31 (524)
3. VIII. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. L. Janczak

ANDRZEJ F. GRABSKI

Po 25 latach

Mają chyba rację historycy, kiedy powiadają, że wszystko, co się kiedyś działo, z punktu widzenia ich naukowej specjalności jest faktem dziejowym i że te z owych faktów, które zostały wydobyte na jaw z przeróżnych śladów przeszłości, uświadomione i zrekonstruowane stają się faktami historycznymi. Stąd oczywisty jest wniosek, że fakty dziejowe są już niezmienne, bowiem to wszystko, co się niegdyś działo, zamarło w przemijaniu i zmienić się nie może, a zmieniać się będą tylko fakty historyczne, w miarę jak historia odtwarza ich coraz szerszy wachlarz i coraz bardziej zbliża się do poznania tego, jak to niegdyś rzeczywiście było.

Owych faktów historycznych — powiemy nie bez racji — jest niezmiernie wiele i są one rozmaite. Są takie — choćby i ważne — które mogą sobie uświadomić jedynie gabinetowi specjaliści od zamierzchłych epok, są i takie, o których wiedzą całe zbiorowości ludzkie, które zajmują ważne miejsce w świadomości społecznej. Każdy z nas nie tylko o nich pamięta, ale ma do nich swój osobisty stosunek, są one dla niego bliskie lub dalekie, ale nigdy obojętne.

Pamięć o tych powszechnie uświadamianych w społeczeństwie wydarzeniach dziejowych składa się na historyczną tradycję narodu. Są bowiem w jego dziejach takie wydarzenia, które choć dawno minione, żyją i żyć będą przez wieki w zbiorowej świadomości, do których stosunek zawiera nie tylko indywidualny pogląd na przeszłość, lecz także i ludzką postawę w teraźniejszości. Niektórzy specjaliści od historii najnowszej i publicyści z zapałem godnym lepszej sprawy powiadają, że owa zbiorowa pamięć narodu ogarnia jedynie to, co przeżył on stosunkowo niedawno. Nieprawda. Nie dystans czasowy decyduje o tym, co zbiorowa pamięć przechowuje dla przyszłych pokoleń. W dziejach narodu są wydarzenia, ba — okresy całe — które w świadomości ludzi są przecież bliższe, niż wiele z tego wszystkiego, co działo się tak niedawno. **Zbiorowa pamięć narodu obejmuje bowiem to, co przeżył on najgłębiej w swej przeszłości — dalekiej, bliskiej i tej ledwie wczorajszej.**

Powstanie warszawskie zapadło głęboko w serce Polaka i wbrew zegarowi czasu z niejakim zdziwieniem uświadamia on sobie, że od tego pamiętnego 1 sierpnia 1944 roku dzieli nas aż ćwierć stulecia. Tak, ćwierć wieku, a przecież tamte tragiczne dni stoją nam przed oczyma pamięci jakby działy się wczoraj, przed paru ledwie laty...

Przez owych dwadzieścia pięć krótkich lat napisano wiele długich dzieł o przyczynach, przebiegu i skutkach powstania. Zbiorowa pamięć narodu znajduje weryfikację, a jakżeż często ko

Dalszy ciąg na str. 3

Kultura polska w świecie

Żyli z nami w dżungli

Ostatnio między PRL a Wietnamską Republiką Demokratyczną została podpisana umowa o dalszej wymianie kulturalnej. W tym czasie bawił w Polsce z wizytą wiceminister kultury DRW — Ha Xuan Truong, do którego zwróciliśmy się z prośbą o wypowiedź dotyczącą dotychczasowych wyników współpracy kulturalnej i możliwości oraz kierunków jej dalszego rozwoju.

ODGŁOSY — Kultura wietnamska posiadająca wielowiekową tradycję rozwija się obecnie w szczególnie trudnych warunkach, kiedy naród wietnamski walcząc z imperialistyczną agresją broni swej niezależności. W tych warunkach rozwija się nieprzerwanie wymiana kulturalna z bratnimi, socjalistycznymi krajami. Jakie miejsce w tej wymianie zajmuje Polska i jakie są dotychczasowe jej wyniki?

HA XUAN TRUONG — Wietnamska kultura ma nie tylko wielowiekową tradycję, ale i siłę burzliwego życia, jest związana z nieustanną walką narodu wietnamskiego o niepodległość, wolność i suwerenność terytorialną swego kraju.

Bogate życie i różnorodność dzisiejszej wietnamskiej

Dalszy ciąg na str. 8

Z ziemskiej i księżycowej perspektywy

Całe wydarzenie można opowiedzieć krótko.

16 lipca o godzinie 14.32 kolejny statek typu Apollo z numerem 11 wystartował z przylądka Kennedy'ego.

20 lipca część statku, zwana w skrocie LM, z dwoma ludźmi na pokładzie wylądowała na Księżycu.

21 lipca o godzinie 3.56 pierwszy człowiek stanął na jego powierzchni. Kilkanaście minut później uczynił to drugi.

Po dwóch godzinach obaj powrócili do LM. Tego samego dnia wystartowali i połączyli się z czekającym na statku macierzystym trzecim członkiem załogi Apollo 11.

24 lipca o godzinie 17.51 statek Apollo 11 z powrotem znalazł się na Ziemi. Wyprawa trwała dokładnie 8 dni, 3 godziny i 19 minut...

Ale były w ciągu tych ośmiu dni dwie godziny zupełnie szczególne, niepodobne do żadnych innych w całej dotychczasowej historii ludzkości. Wówczas, kiedy dwaj jej przedstawiciele chodzili po powierzchni innej planety.

Gazes nad głowami tej dwójki unosił się błękitno biały krąg. Ich Ziemia. A na niej setki milionów podobnych im istot, wpatrzonych w obraz innej planety. I w nich. W ludzi wnoszących masywnymi butami kosmicznych skafandrów pył innego świata.

Były to dwie godziny szczególnej więzi. Między Ziemią i Księżycem. Między ludźmi — tu, i ludźmi — tam. Właśnie: ludźmi. Nigdy chyba w przeszłości, w żadnych innych okolicznościach tyle na raz setek milionów mieszkańców Ziemi nie przeżywało tak intensywnie poczucia ogólnoludzkiej wspólnoty.

Patrząc na Armstronga i Aldrina chodzących po Księżycu czuliśmy się ludźmi — z planety Ziemia. I zupełnie naturalne wydawały się nam tak właśnie brzmiące słowa wyryte na tabliczce, którą pozostawili na miejscu swego lądowania. I te — że przybyli w imieniu całej ludzkości. Bo tak to naprawdę wyglądało z perspektywy Księżyca.

Takie jest właśnie nowe prawo, z którego działaniem ludzie dopiero zaczęli się zapoznawać. Prawo kosmicznej perspektywy, ukazujące gatunek ludzki jako całość.

Zaczęło ono działać dosłownie na naszych oczach, przed kilku tylko dniami. Nie jest więc łatwo ogarnąć, wszystkie, różnorakie skutki, jakie wyniknąć mogą z jego działania. Ale z pewnością można powiedzieć jedno: zaostrzy ono nasze widzenie, ułatwi oglądanie spraw ludzkich z dwóch rozmaitych perspektyw — z tej, jedynej dotychczas dostępnej, ziemskiej — i nowej, którą dane nam było poznać tak wyraźnie w godzinach przed świtem 21 lipca.

W tym zaś nowym polu widzenia łatwiej stać się muszą dostrzegalne kontrasty między sferą pojęć wyrosłych na ziemskim gruncie — z całej dotychczasowej historii ludzkich doświadczeń, przeżyć, walk, sprzeczności i podziałów i nową sferą w sposób całościowy obejmującą świat i ludzi.

Starcie tych dwóch sfer pojęciowych, dwóch odmiennych perspektyw, dało o sobie znać w sposób szczególny w trakcie lotu Apollo 11.

Spójrzmy na to starcie poczynając od tabliczki pozostawionej na miejscu historycznego lądowania. Mówi ona o ludzkości i o lądującym na Księżycu człowieku z planety Ziemia. Używa więc pojęć dyktowanych prawem kosmicznej perspektywy. Ale równocześnie podaje, że stało się to — AD 1969. Stosuje więc pojęcie czasu wywodzące się przecież z jednej tylko kulturowej i cywilizacyjnej tradycji — chrześcijańskiej, a według kalendarza mahometańskiego np. czas będzie inny. Jest więc odbiciem pewnych odziedziczonych po przeszłości wewnątrzludzkich podziałów. Uświadamia, że ludzkość, która weszła w kosmos, nie była jeszcze zdolną u siebie, na Ziemi, ustalić jednego, ogólnoświatowego sposobu liczenia czasu.

Spojrzenie z ziemskiej perspektywy, takiej, w której dominuje i przytłacza obraz istniejących na świecie przedziałów i sprzeczności ujawniło się w pewnej znamiennej decyzji, izolującej niemal jedną czwartą mieszkańców Ziemi od wiadomości o tym, że przedstawiciele naszej planety znaleźli się na Księżycu.

W Chinach panowało zupełne milczenie na ten temat. Żadnej najmniejszej wiadomości kierownictwo tego państwa nie przekazało jego mieszkańcom.

Z pewnością nie mogło się o tym dowiedzieć również wiele milionów ludzi w innych zakątkach naszego tak, pełnego świata kontrastów. Rozwiniętej techniki i wysokiej cywilizacji, a równocześnie krańcowego zacofania, prymitywu i nędzy. Świata, w którym jedni ludzie szturmują kosmos, a inni muszą prowadzić tragiczną walkę o elementarne prawo do życia.

Trudna, a po 21 lipca może jeszcze bardziej bolesna jest świadomość, że ludzie umierający w Biafrze, walczący na ryżowiskach Wietnamu, gnący się w niewolniczej pracy na południowoamerykańskich plantacjach znajdowali się w warunkach, w których nie mogła do nich dotrzeć wiadomość o dotarciu do Księżyca. Bolesna, bo jeszcze ostrzej uzmysławiała tragizm kontrastu między warunkami ich życia, a życiem tych, którzy mogli przy ekranach telewizorów emocjonować się perypetiami księżycowej wyprawy.

Ale za tą zaostrzoną świadomością mogło iść — i z pewnością szło w milionach jednostkowych przypadków — wzmożone poczucie ogólnoludzkiej solidarności. Niezbędny element nowej epoki i nowej perspektywy.

W decyzji natomiast chińskiej było coś całkowicie odmiennego. Świadoma chęć izolacji od tego, co przeżywa reszta świata, odcięcia się od tego, co było tak wyrazistym znamieniem nowej ery.

Ten gest może lepiej niż cokolwiek innego ukazywał kontrast między dwoma sposobami patrzenia, między ziemską i nową, szerszą perspektywą.

Prawa tej nowej z trudem będą sobie torowały drogę do ludzkiej świadomości. W przeciwdziałaniu im sprzymierzą się tradycja, nawyk, przyzwyczajenie wyrosłe na gruncie podziałów i sprzeczności odziedziczonego przez ludzi świata.

Im jednak dalej ludzie będą zagłębiać się w kosmos, tym mocniej te prawa będą dawały znać o sobie, stając się istotnym elementem kształtowania stosunków tu, na Ziemi. Okazać się mogą bardzo cenną pomocą w takim modelowaniu warunków życia ludzkości, w których łatwiej będzie usuwać przyczyny ekonomicznych i społecznych sprzeczności współczesnego świata.

W. MALSKI

Łodzianie w karykaturze

KONSTANTY MACKIEWICZ
laureat nagrody państwowej I stopnia za całokształt twórczości artystycznej w dziedzinie malarstwa

WACŁAW BILIŃSKI
laureat nagrody państwowej III stopnia za powieść pt. „Nagrody i odznaczenia"

Rys. *IBIS-GRATKOWSKI*

Listy do redakcji

Dnia 7 lipca 1969 r. R. Samsel zaprezentował w „Panoramie Literackiej" temat niezmiernie ciekawy: „Miasto przemysłowe — Łódź". W rozmowie wzięli udział: prof. dr Jan Zygmunt Jakubowski, Jan Koprowski, doc. dr Bolesław W. Lewicki, Marian Piechal.

Przy reprezentacji interlokutorów Samsel popełnił kilka błędów. Nie jest prawdą, że prof. Jakubowski jest bardzo ściśle związany z Łodzią, bo tutaj zaczął się uczyć i skończył wyższe studia w Łodzi. Informacje te są nieścisłe, bo prof. Jakubowski, nie wiem gdzie się uczył i gdzie skończył wyższe studia, ale to wiem na pewno, że uczył w Gimnazjum im. Kopernika w Łodzi i że składał wraz ze mną egzamin w UW na dyplom nauczyciela szkoły średniej. Drugą nieścisłość popełnił Samsel, gdy powiedział, że Piechal związany jest również z Łodzią, bo tu mieszkał, czemu oburzył się Piechal i wyjaśnił, że nie tylko mieszkał, ale urodził się w Łodzi, mieszkał i będzie mieszkał aż do śmierci, a nawet patetycznie stwierdził, że po śmierci również będzie w Łodzi mieszkał. Koprowskiego i Lewickiego nie prezentował, powiedział tylko, że związani są z Łodzią.

Na wstępie zaprezentowano dwie rozmowy: z dyrektorem Zakładów Włókienniczych im. Dubois, ob Zięba, i dialog między kierownikiem księgarni i uczennicą na temat, co się znajduje na półkach księgarskich z książek o Łodzi.

Na pytanie rozmówczyni, czy książka trafia do robotników, dyr. Zięba daje wymijające odpowiedzi, jak: „nie mamy za wiele czasu na czytanie, ale czas musi się znaleźć. w Zakładach im. Dubois pracuje ok. 3000 ludzi, robotnicy czytają — kilkuset odnotowano u nas czytelników. Więc jak? Czytają, mają czas, czy tylko potencjalnych czytelników odnotowano w kartotece biblioteki?

Na drugie pytanie, czy o Łodzi jest wiele książek w bibliotece, dyr. Zięba stwierdza, że jest ich bardzo mało. Łódź jest kolebką włókiennictwa, wskazane byłoby, żeby w bibliotece znajdowało się wiele książek o różnych tematach o Łodzi. Dobrze, że znajduje się „Biografia włókniarzy łódzkich", po tę książkę robotnicy bardzo często sięgają. Z tego dialogu nie można wysnuć wniosku, jakie książki o Łodzi znajdują się w bibliotece Zakładów im. Dubois, bo nie tylko robotnicy nie umieliby na to pytanie odpowiedzieć, lecz sam dyrektor nieczęsto musi zaglądać do biblioteki, a przeczytał tylko wspomnianą wyżej „Biografię"...

Poprzez obraz małych staroświeckich chałupek i obok nich stojących wieżowców współczesnej Łodzi wyłania się księgarnia, w której kierownikowi zadaje pytanie uczennica. Dziewczynka pyta czy może dostać książkę Karczewskiej. Nie ma. Czy są jakieś zapowiedzi, że w handlu ukażą się nowości o Łodzi? — Nie ma żadnych.

Pierwszemu udziela głosu Samsel Koprowskiemu, który sprzeciwia się mniemaniu, opinii, przekonaniu, a nawet utworzonemu mitowi, że książek o Łodzi nie ma, że nikt o Łodzi nie pisze. Tymczasem, przypomina Koprowski, o Łodzi napisano już sporo książek.

Prof. Jakubowski zabrał głos jako historyk literatury, pytając na wstępie, czy temat dobrze sformułowano, w jakiej mierze współczesna literatura łódzka tworzy dobrą atmosferę, jakie obrazy daje. Pytanie powstaje, gdy przeprowadzamy paralelę pomiędzy pisarzami zaliczanymi obecnie do klasyków i pisarzami współczesnymi, w jaki sposób kontynuują tradycję, jak pokazują zjawiska, przemiany.

Doc. Lewicki wskazał na patetyczność Łodzi, a zarazem na schemat ikonograficzny — obok małej chałupki duże, wysokie wieżowce. Łódź była wyzyskiwana jako temat do filmu: „Ziemia obiecana", trzech młodych reżyserów niedawno nakręciło film pt. „Koniec nocy".

Roman Samsel zwraca się w tym miejscu do Piechala z prośbą o przedstawienie zebranym, jak odczuwał to demoniczne miasto Łódź i ludzi w nim mieszkających. — Dawniej — oświadczył Piechal — Łódź nigdy nie była demoniczna dla jej mieszkańców, tylko dla obcych, a więc i dla Reymonta, który Łodzi nie lubił i ją demonizował.

Pierwszą notację poetycką o Łodzi prezentuje Wiktor Dłużniewski, znany był w okresie międzywojennym Artur Zgliczyński, Julian Tuwim, Jerzy Zawilski.

R. Samsel zamknął dyskusję stwierdzeniem, że nie tylko Łódź, ale również inne okręgi Polski oczekują i domagają się, by robotnicza Łódź znalazła swój wyraz w literaturze.

MARIAN WDÓWKA

OD REDAKCJI:

Po pierwsze: temat dyskusji w „Panoramie Literackiej" brzmiał: „Łódź, jako temat literacki".

Po drugie: z kierownikiem księgarni nie rozmawiała uczennica, lecz... reporterka warszawskiej TV.

Po trzecie: dyrektor Zięba nie mógł czytać żadnej „Biografii włókniarzy", bowiem jak dotąd ukazała się jedynie „Monografia włókniarzy".

Po czwarte: Film „Koniec nocy" nakręcono dobre kilka naście lat temu, a nie „niedawno".

Po piąte: historia literatury nie notuje takich pisarzy jak Jerzy Zawilski i Artur Zgliczyński. Znani są natomiast Artur Glisczyński, Jerzy Zawiejski, Apoloniusz Zawilski.

A poza tym wszystko się zgadza.

spektakle tygodnia

	Liczba spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Romeo i Julia",	2	1890	75
„Zemsta nietoperza",	1	940	75
POWSZECHNY			
„Radziwiłł, Panie Kochanku",	3	1386	70
„Czarna komedia",	1	396	60
„Kawior i kaszanka"	1	430	65
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę",	4	2800	100
„Szkoła żon",	2	421	70
MAŁA SALA			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym",	2	260	65
„Bliski nieznajomy",	1	140	70
im. JARACZA			
„Ballada o tamtych dniach",	5	2225	70
7.15			
„Jadzia wdowa",	5	1890	90

RYSZARD BINKOWSKI

W Czastarach

U wylotu Bramy Wieruszowskiej, na nizinnych, płodnych ziemiach, gdzie niegdyś szumiała puszcza, powstała wieś o nazwie Czastary. W pobliskim uroczysku krajańskim odnaleziono przedmioty kultury rzymskiej z I i II w.n.e. Były i rzymskie denary. Tędy wiodła droga bursztynowa.

W latach 1300—1306 Wacław II wyparł Łokietka i rządził na tych ziemiach. Król czeski miał swoich „cestarów". Byli to robotnicy drogowi. Na polecenie króla lub kasztelana pomagali w przeprawach. Dbali o bezpieczeństwo wędrujących kupców. Od tych właśnie „cestarów" wywodzi się najprawdopodobniej nazwa wsi.

A człowiekiem, który od 21 lat chodzi po Czastarach, szuka śladów przeszłości, notuje wszystkie wydarzenia dnia powszedniego, jest Antoni Kazimierz Stawski. Ma 67 lat. 47 lat przepracował w zawodzie nauczycielskim. W tym roku ustępuje ze stanowiska kierownika szkoły. Pan Stawski przez 10 lat pisał liczącą blisko 200 stron monografię Czastar. Chciał zostawić w pamięci ludzi historię ich rodzinnej ziemi.

W okresie międzywojennego dwudziestolecia w Czastarach działają silne organizacje wiciowców i ludowców. Na początku lat trzydziestych powstaje kółko rolnicze, działa straż ogniowa, która niedawno obchodziła swe 50-lecie.

Po pięciu latach okupacji hitlerowskiej ludność rdzennie polska stanowiła w Czastarach mniejszość. A to wskutek wywożenia mieszkańców na roboty. 60 ludzi z gminy zginęło. Ale nieznany partyzant zabijał Niemców. Obławy nie dawały wyników. W ludzkich sercach rosła nadzieja. Powiększały się oddziały BCh. Jednym z ich twórców był czastarak, dzisiejszy nauczyciel i poseł na Sejm, Mieczysław Szymanek.

18 stycznia 1945 r. na Czastary spadło 16 bomb. Wkraczały oddziały sowieckie. Kończyła się niewola. Z Francji, Belgii, Holandii, z Niemiec, z Gen. Guberni wracali czastarac y. Tworzyli nową ludową władzę. Pierwszym starostą w Wieluniu z inicjatywy czarstarskiego koła SL został późniejszy poseł na Sejm, Bolesław Galiński. Ludzie nie troszczyli się wielce o własne, wygodne domy. Rozumieli, że nowa władza daje ich dzieciom wielkie możliwości w zdobywaniu wiedzy. Dlatego też 19 września 1948 r. położono kamień węgielny pod budowę nowej szkoły, która została oddana do użytku 3. XI. 1951 r. Powstała w czynie społecznym, systemem gospodarczym. Najwięcej starań i wysiłku włożyli w to dzieło Roman Białek, sekretarz Zarządu Gminnego, i ówczesny wójt, Antoni Gaj.

Mamy 18 izb szkolnych, salę gimnastyczną i mieszkania dla trzech rodzin nauczycielskich — mówi nie bez dumy pan Stawski. — Na centralne ogrzewanie nie stało pieniędzy. Ale muszę powiedzieć, że jest to najtańsza szkoła w Polsce. Kosztowała państwo tylko 200 tys.

Od tego czasu praca społeczna stała się niejako „cechą" narodową" w Czastarach. Od 1948 roku przy GS działa Gminna Kasa Spółdzielcza. Przeradza się wkrótce w samoistny Bank Spółdzielczy. W 1965 r. bank przenosi się do nowoczesnego budynku, wzniesionego na szkolnej, pokarczemnej ziemi. Późną jesienią 1957 roku cała ludność rusza do zwożenia słupów i kopania dołów. Płoną pierwsze żarówki. Na ulicach latarnie. Dziwnym trafem w każdym domu wszystko się pogniotło od tego światła. Przeto wszędzie prasują żelazkami elektrycznymi.

A na wiosnę 1958 r. mieszkańcy pomagają przy budowie nowego Ośrodka Zdrowia. W 1963 powstaje „Lecznica dla zwierząt". W tymże samym roku 28. XII. o godz. 12 dokonuje się technicznego odbioru Wiejskiego Domu Kultury. Sala teatralna, świetlica, garaż, suszarnia. Przewodniczący Prez. PRN wręcza klucze przewodniczącemu GRN. Wtedy na sali szum. Strażacy czują się pokrzywdzeni. — My to budowaliśmy — nasz jest dom — wołają. Nie mają racji. Cała wieś winna korzystać. Ale strażacy opuszczają salę. Nikt ich nie przekona.

Kupili pół skrzynki wódki. Poszli pod stary wiąz. Wypili. Pasy przez ramię jak partyzanci. Tak weszli na salę. Ustąpiono strażakom. Przeto szybko wymalowali szyld: „Dom Strażaka". Sami bielą ściany. Ale przecież nazwa nieważna. Grunt, że kultura zagościła na dobre w Czastarach. Zespół artystyczny zajął pierwsze miejsce na eliminacjach wojewódzkich. Półstałe kino „Zorza" przyciąga stałych bywalców. Ale do kultury trzeba wchodzić w czystych butach. A tu droga w rozdołach. Zrobili ludzie tę drogę do stacji. Stoi piękny Dom Kultury. Przed nim błoto paskudne. Raz trzeba z tym skończyć. I skończyli. Założyli chodniki Takie to są te Czastary. Długa wieś. Nie mieści się przy asfaltowej drodze. Wybiega kilkoma ulicz kami w pole, w żyta, pszenicę. I kiedy idziesz przez tę wieś, natykasz się wszędzie na rozpanoszoną industralizację. I na kontrasty. Kolorowe wille pod dachówką, eternitem. W niebie anteny telewizyjne. Świadectwo zamożności, dobrego gospodarowania, dorobku dodatkowego w zakładach Wieruszowa, Bolesławca. A wśród tego nowoczesnego budownictwa chałupina wybrzuszona. Białe ściany, małe okienka, połatana strzecha. Na niziutkiej ławeczce gwarzą dwie staruszki. Powiedzą ci, że ho, ho, jak się tu zmieniło. Inaczej ludzie żyją, dostatnio.

— Przed wojną roboty nie było. Na przednówku lebiody się najadłam. Chodziło się do dziedzica Nowickiego w Parcicach. Przy kopaniach płacił 60 groszy dziennie.

Zostawiasz staruszki. Dalej sobie gwarzą. O tym, jak to starego Ząbka kot prowadził od samej stacji. Ząbek półżywy wpadł do izby. Ale z tymi przesądami, choróbskami daje sobie radę doktor Miedzianowski. Dobry, nieomylny lekarz. I człowiek dobry. Taki Judym czastarski. Chodzi po izbach. Leczy, radzi, uświadamia. Jak nie masz za dużo grosza, to nic nie weźmie. A wy leczy.

Ten młody człowiek w szarym ubraniu, w kraciastej koszuli z „Wólczanki". Idzie chodnikiem. Omija młode drzewka. Prowadzi na łańcuchu dwie czarne krowy. Za nimi biegnie mała owca. Młody człowiek zatrzymuje się przy kiosku „Ruchu". Krowy czochrają się o ścianę. Jedna pokrykuje. Właściciel kupuje papierosy, „Głos Robotniczy", „Przegląd Sportowy". W kiosku „Życie Literackie", „Kultura", „Fakty i Myśli". I ludzie to nawet czytają, zauważa sprzedawczyni. Czytają. Przecież sporo inteligencji. Trzech lekarzy wyszło z Czastar. Tym trzecim jest syn posła Galińskiego. W tym roku ukończył studia. A inżynierów będzie ośmiu. I bardzo dużo tych ze średnim wykształceniem.

Kiedy zapada wieczór, nad Czastarami płoną latarnie. Leci śpiewka od baru „Smakosz". Niewiele wprawdzie tam zasmakujesz. Czerwona kicha, dzwonko śledziowe, salceson w occie. I całe baterie „rozmownej". Naród doi na stojaka sety, piwne bomby. I skacze na motory. I na dwóch gazach w noc, w Polskę.

Intymniejszy nastrój w parku. Ten park w dębach, klonach, w bujnej zieleni. Żwirowane alejki obrzeżone krawężnikami. Ławki. Już kilka lat stoją. I całe, nie zniszczone. Obok parku sadzawka. Gwiazdy w niej, oko latarni, żabi koncert. Przygłuszany. Bo od tych ławek w ognikach papierosów, od zakochanych par pohukują tranzystory. Pies czasem szczeknie, brzęknie wiadro. Bo to przecież wieś. Nowa, polska wieś, ukształtowana w ludowym ćwierćwieczu.

Półka z książkami

PUBLICYSTYKA MACHEJKA

„Z mojego obserwatorium" — taki jest tytuł cyklu cotygodniowych artykułów Władysława Machejka drukowanych od paru lat na łamach „Życia Literackiego". Taki sam tytuł nosi wybór tej pełnej pasji publicystyki wydany przez „Książkę i Wiedzę". Te artykuły i felietony, pisane na gorąco — są bardzo charakterystyczne dla twórczości, osobowości i temperamentu publicystycznego Machejka.

Mówi się tu o najbardziej aktualnych sprawach dnia powszechniego — autor bierze na warsztat zarówno istotne problemy polityczne i społeczne, sprawy z dziedziny literatury czy kultury — jak i sprawy pozornie drobne, ale istotne dla kształtowania socjalistycznej moralności.

Oczywiście wybór publicystyki z lat 1967—1968 nie jest — bo być nie może — syntezą, ale zawiera ogromną skalę zagadnień — szeroki wachlarz tematów i różnorodność ujęć emocjonalnych — zawsze pełnych gorącego zaangażowania — zmusza czytelnika do myślenia i szukania odpowiedzi na spiętrzone przed nim pytania i problemy.

Rzecz prosta nie jest to lektura „do poduszki", jej wartość będą w stanie ocenić działacze frontu ideologicznego, prelegenci, nauczyciele wychowania obywatelskiego. I chyba z myślą o nich wydano tę mądrą i pełną pasji książkę.

Władysław Machejek „Z mojego obserwatorium" KiW cena 28 zł.

PAMIĘTNIKI RADZIECKIEGO SZTABOWCA

Mimo że od zakończenia II wojny światowej upłynęło już blisko ćwierćwiecze, nie słabnie zainteresowanie tą problematyką w najszerszych kręgach czytelniczych. Obok pozycji beletrystycznych ogromną popularność zyskały książki pamiętnikarskie, zwłaszcza zaś pamiętniki wybitnych dowódców odsłaniających kulisy największych operacji wojskowych. Jedną z takich publikacji są wydane właśnie przez MON zapiski szefa oddziału operacyjnego radzieckiego Sztabu Generalnego w czasie ostatniej wojny, S. Sztemienki.

Odtwarzając tamte dni, autor nie polega na samej tylko autopsji i własnej znajomości faktów, rozszerza relację w oparciu o dostępne mu materiały źródłowe, co podnosi jej dokumentalne walory. A przecież, jako wyższy oficer Sztabu Generalnego, doskonale wprowadzony we wszystkie plany strategiczne dowództwa, ma nam wyjątkowo dużo do zakomunikowania. Wie bowiem, jak się te plany rodziły i jak je następnie korygowały działania frontowe. Relacja ta, choć może mniej barwna niż bezpośrednie opisy walk, które dominują w innych książkach tego typu, ma mimo wszystko nad nimi dość istotną przewagę: autor, ze względu na charakter wykonywanej pracy, operuje już nie wycinkowymi materiałami z jednego frontu, ale sugestywnie przedstawia sytuację na wszystkich frontach, w oparciu o komunikaty z przebiegu walk, jakie systematycznie napływały do sztabu.

Dla czytelnika polskiego szczególnie interesujące będą te partie pamiętnika S. Sztemienki, w których autor przedstawia działania armii radzieckiej w drugiej połowie września 1939 r. Równie ciekawa jest relacja o rozgromieniu japońskiej Armii Kwantuńskiej latem roku 1945, kiedy już ustały działania wojenne w Europie. Cennym uzupełnieniem książki są informacje o najwyższych radzieckich dowódcach, którzy przyczynili się walnie do zwycięstwa Armii Czerwonej. K.F.

S. Sztemienko „Sztab Generalny w latach wojny", tłumaczyli z rosyjskiego Wojciech Boroński, Leon Gregorowicz, Władysław Mróz, Wydawnictwo MON 1969, str. 445.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Po 25 latach

Dalszy ciąg ze str. 1

rekturę w setkach drukowanych wspomnień, powieści, rozpraw naukowych, artykułów historycznych i przyczynków. W dziejopisarstwie poświęconym powstaniu poczesne miejsce zajmują monografie płk. A. Borkiewicza i gen. J. Kirchmayera, rozprawa A. Skarżyńskiego o politycznych przyczynach powstania, ostatnio zaś książka Z. Kliszki „Powstanie warszawskie" (I wydanie — 1967). Autorzy tych i innych jeszcze prac dokonali drobiazgowej rekonstrukcji politycznych i wojskowych wydarzeń z tamtych tragicznych dni, poszerzyli naszą wiedzę o powstaniu i jego miejscu w dziejach narodu. Jedne ze wstępnych ocen zyskały nowe potwierdzenie, innym raz jeszcze zaprzeczono, ujawniono wiele nieznanych faktów — ale pomimo to nie zapomniano o kontrowersjach, nie zawieszono walki o rację polityczną — jako że nie wygasły jeszcze te polityczne antagonizmy, które tak zaciążyły nie tylko na tamtych latach.

Bezpowrotnie przeminął czas, kiedy to komuś się zdawało, że młody chłopak, czy dziewczyna, zanim przystąpił do ruchu oporu, do tej lub innej organizacji, mógł dokładnie przestudiować wszelkie programowe deklaracje aby wstąpić do organizacji tej, z którą się mógł politycznie zidentyfikować. Kto tak sądził, nie zdawał sobie sprawy z realiów życia narodu polskiego pod hitlerowską okupacją. W ścisłym związku z tego rodzaju poglądami pozostawał znany dobrze stosunek do żołnierzy Armii Krajowej.

Takie i inne jeszcze twierdzenia, jaskrawie sprzeczne z historyczną świadomością większości narodu, wbrew intencjom tych, którzy je wypowiadali, sprzyjały lansowaniu i popularyzowaniu poglądów zdecydowanie odmiennych, głoszonych z uporem zwłaszcza przez ośrodki emigracyjne — apologetycznych w stosunku do kierownictwa AK, Delegatury i polityków z Londynu, wskazujących na rzekomo całkowitą jedność pomiędzy zapatrywaniami szeregowego żołnierza AK a jego zwierzchnikami w kraju i za granicą.

Zerwanie z krzywdzącym stosunkiem do żołnierzy AK umożliwiło skuteczną polemikę z ideologią „akowskiej góry".

„Kiedy przed VIII Plenum i również po nim — pisał Zenon Kliszko — dyskutowano nad sprawą AK, szło o moralną i osobistą rehabilitację masy żołnierskiej AK, obrońców warszawskich barykad, uczestników walk sabotażowych i partyzanckich, którzy przelewali krew w walce z hitlerowskim najeźdźcą, a w odrodzonej Polsce brali udział w odbudowie kraju, dziś zaś uczestniczą w budowie socjalizmu.

W minionym okresie ludziom tym wyrządzono nieraz krzywdę moralną i materialną tylko dlatego, że w latach okupacji należeli do AK.

To należy już do bezpowrotnej przeszłości".

Wybacz, Czytelniku, że kończąc, raz jeszcze przytoczę słowa zastępcy dowódcy zgrupowania Armii Ludowej na Żoliborzu:

„Powstanie warszawskie było czynem zbrojnym na miarę nie spotykaną niemal w historii walk narodowowyzwoleńczych ostatniej wojny, najpiękniejszym wybuchem nagromadzonej nienawiści do hitlerowskiego okupanta.

Wywołanie powstania warszawskiego było jednocześnie czynem politycznym kalkulowanym na zimno, żerującym na patriotyzmie mas ludowych, zmierzającym do tego, aby zadać cios najistotniejszym interesom kraju wyzwalanego spod okupacji hitlerowskiej".

Nie ma w tym nic przesady...

FELIKS BĄBOL

HISTORIA MŁODOŚCI KTÓREJ NIE MA...

Najgorsze były noce. Wtedy samotność atakuje najdotkliwiej. To nic, że ma 17 lat, że żyje w kręgu młodości nie dopuszczającej do deliberacji — nurt życia w tym wieku porywa — on przy swoich 17 latach nie reprezentuje tych setek tysięcy wchodzących w wiek męski. Chodzi o to, że Marek jest nietypowy. Nie ma już matki, a ojciec jest niewiadomy. Jakże często przypomina mu o tym ciotka, która wiedziona kiedyś po śmierci matki jakimś szczątkiem uczuć przygarnęła go do siebie, ofiarowując miejsce do spania na łóżku męża. Przypominała mu o tym, że nie ma własnego domu, jakby podkreślając zasługi własne — oto co zrobiła dla niego.

Jednocześnie przypominała codziennie o tym, żeby do domu przychodził najpóźniej o ósmej wieczorem. Wtedy również kończyły się nieszpory w kościele na Widzewie i ciotka wracając do domu chciała tam widzieć już Marka, jak się uczy albo czyta książki, albo słucha radia — nie chciała słyszeć o żadnych wyjściach z kolegami do miasta, czy choćby do parku. „Zamurowała" go w tym jednopokojowym z kuchnią mieszkaniu i czekała. Czekała na co? Z zachowania ciotki w ostatnich latach wynikało jasno, że czeka na to, aby Marek któregoś dnia wyprowadził się od niej.

☆ ✻ ☆

— Powiem ci coś — szepnęła owej niedzieli, gdy Marek stał w oknie i poprzez skośne strugi deszczu wypatrywał na drzwiach drewnianych komórek naprzeciwko ich domu jakiegoś ruchu czy życia. Na komórkach były tylko czarne plamy smoły a na ich dachu tylko kroplisty kurz wodny.

— Powiem ci, gdzie masz szukać swego ojca. — Odwrócił się od okna i spojrzał na ciotkę. Znieruchomiał na dźwięk słowa „ojciec". A ona drążyła dalej.

— Pójdziesz na Sienkiewicza, zaraz za rogiem Wigury jest taki niewielki dom. Tam mieszka twój ojciec.

Marek miał tylko niejasne wyobrażenie o swym ojcu. Utrwalił sobie przez lata przekonanie, że ten ojciec gdzieś żyje, istnieje, że nie jest z nim, bo może mu źle, bo może matka tak chciała przed śmiercią. Może był niegodny Marka? Zapalał się powoli do myśli roznieconej przez ciotkę. Jeszcze tej niedzieli poszedł na Sienkiewicza.

☆ ✻ ☆

— Chłopysiu! Ja twoim ojcem?

Mężczyzna lat około 50 wpatrywał się w Marka. Nie dlatego, żeby szukać w jego twarzy rysów podobieństwa, by wybuchnąć za chwilę potokiem ojcowskiego uczucia. Nie, wpatrywał się w Marka jak spłoszone zwierzę, ale silniejsze niż ten pętak, który przyszedł tu w sprawie jakiegoś ojcostwa.

— Wiesz, kim była twoja matka? Była k....

Nie rzucił się wtedy na tego mężczyznę o wejrzeniu wilka, nie padł na podłogę złamany brutalnością słów. Pamięta tylko, że mocno zatrzasnął drzwi za sobą. Szybko zbiegł po schodach kamienicy, po kieszeniach szukał pieniędzy, ale wiedział, że nic nie znajdzie, najwyżej 50 groszy czy złotówkę. Szukał pieniędzy, bo mu zaschło nagle w gardle, bo w pobliskiej cukierni chciał napić się oranżady. Oduczył się płakać już wtedy przed laty, gdy poczuł, że osamotnienie i obcość otoczenia, w którym przebywał, wysuszyły w nim łzy.

☆ ✻ ☆

Nie mówił ciotce ani słowa o tym spotkaniu z obcym człowiekiem. Ale ciotka rozumiała to po swojemu: nie chce nic powiedzieć tamten, pewnie go wyrzucił za drzwi, drania. A może nie był dość pokorny i cichy wobec tego człowieka? Poczuła, że i w niej pierzchają gdzieś resztki słabości do tego chłopaka, który nic nie daje na dom, zajmuje miejsce w łóżku obok jej męża i któremu nie chce się odnaleźć własnego ojca. Wybuchały w niej długo tłumione pretensje do świata i ludzi — wszystkie te pretensje skupiały się wokół Marka.

Dlaczego nie stać jej na kupno telewizora? Bo Marek nie daje jej ani grosza. Marek zarabia w fabryce jako uczeń szkoły przyzakładowej tylko 300 zł miesięcznie, ale dlaczego nie stara się zarabiać więcej, dlaczego od lat nie daje jej pieniędzy za to, że z nią mieszka, że zagęszcza już i tak zagęszczone jednopokojowe z kuchnią mieszkanie?

I stało się. Już od roku ciotka nie otwiera ust do Marka. Doszła do wniosku, że tylko w ten sposób pogłębi w nim uczucie obcości, tylko w ten sposób zdoła utrwalić w nim myśl o opuszczeniu jej domu. A niech sobie idzie, gdzie chce... Od roku Marek szuka przeciwwagi dla pogłębiającej się obcości. Daremnie szuka w szkole fabrycznej. Owszem — nauczyciele go chwalą, koledzy jednak mają swoje sprawy, swoje kłopoty i radości. Jak trudno znaleźć kogoś od serca na tym świecie tak skomplikowanym, wśród tych ludzi tak okropnie zalatanych i zaaferowanych. Więc najgorsze są noce, gdy przed zaśnięciem odczuwa najboleśniej osamotnienie.

Na dworcu ruch był jak zwykle wieczorem. Marek zdrzemnął się na ławce w poczekalni, ale zdrzemnął tylko na jakieś pół godziny. Prawie nie zatracił jeszcze zupełnie świadomości otaczającego go świata, gdy poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Stał przed nim milicjant.

— Pokaż dokumenty! — zażądał. — Marek wyciągnął zdrętwiałą ręką legitymację szkolną i zaświadczenie z fabryki. Było tam napisane, że uczy się i pracuje, że się uczy zawodu.

— To na dworcu będziemy teraz sypiać? — zapytał funkcjonariusz. — Aaaa, winko się piło...

I nie pomogły żadne tłumaczenia, że butelkę wina wypił z kolegą szkolnym, bo to koniec roku, bo dostał dobre świadectwo, z wyróżnieniem na wet.

— Ładne świadectwo... — zauważył milicjant — ładne. Ale teraz pojedziemy do hotelu. Bo tu by cię okradli. A w hotelu umyją, przenocują, zapiszą...

I zawiózł Marka do Izby Wytrzeźwień.

☆ ✻ ☆

Oczywiście natychmiast dowiedziała się o tym szkoła i fabryka. Zwołano w nagłym trybie naradę aktywistów.

— Dlaczego piłeś wino? Dlaczego zanąłeś na dworcu?

Bolała go jeszcze głowa, czuł jakieś oszołomienie spowodowane przygodą, która zdarza się raz na całe życie, żenowała obecność tych aktywistów. Miny mają wszyscy poważne, zacięte w jakimś wyrazie, miny surowych dobroczyńców.

Miny dobroczyńców były surowe, bo sama nazwa instytucji, do której milicjant zawiózł Marka, nie cieszy się dobrą sławą na żadnym zebraniu aktywu. Z Izby Wytrzeźwień żartują tylko bywalcy baru „Rekord" i bywalcy pijalni piwa — oficjalnie nikt z Izby Wytrzeźwień nie żartuje.

— I co teraz z tobą będzie? Jeden z aktywistów chciał uderzyć w strunę rozczarowania i niewdzięczności, z jaką spotyka się społeczeństwo — właśnie na przykładzie Marka, któremu umożliwiono pracę w fabryce i jednocześnie naukę zawodu. Przykład Marka umożliwił załatwienie kilku statystyk: zwiększenia ilości młodocianych przysposabianych do pracy w przemyśle, frekwencji w szkołach przyzakładowych, funduszu płac w przedsiębiorstwie wypłacającym mu co miesiąc jak za psa 300 zł. A tu taki zawód — Izba Wytrzeźwień.

Ale inni obecni w mig pojęli, że społeczeństwo nie musi zbyt długo deliberować nad sromotą spowodowaną przez Marka, że może lepiej pomyśleć praktycznie i na pytanie: co teraz będzie z tobą — lepiej może nie zastanawiać się nad karą i zadośćuczynieniem ale nad radykalną pomocą, jakiej oczekuje ten młody i niezupełnie szczęśliwy człowiek. Problemem samotności i obcości — owego dnia, gdy Marek wracał do swego domniemanego ojca, w „Wiśle" szedł akurat angielski film pt. „Obcy w domu" — nikt właściwie oficjalnie się nie zajmuje, a przecież są to klęski wyznaczające nieraz wykrzywioną osobowość, trwałe odmiany kalectwa psychicznego.

Więc ktoś z aktywistów na chwilę pomyślał i o owych skutkach osamotnienia. Może trzeba przede wszystkim pokonać tę zaporę, odgradzającą Marka od normalnego życia, od uśmiechu i pogody?

✻ ✻ ✻

Do głosu doszedł rozsądek i tzw. społeczny rozum. Marka trzeba urządzić w lepszych warunkach, w bardziej przyjaznym otoczeniu. Ta idea pasowała do programu działania instytucji i organizacji, których przedstawiciele przyszli na spotkanie z Markiem i jego ciotką. Nie przekreślali zapału milicji, która postanowiła rzecz zacząć od poszukiwań ojca Markowego.

— Jak nie znajdziemy prawdziwego ojca — mówili — to znajdziemy i ustalimy opiekuna prawnego.

Milicjanci myśleli bardzo poprawnie, chociaż ustalić ojcostwo można jedynie przez sąd, a sądowe sprawy ciągną się nieskończenie długo. W każdym razie aktywiści nie przekreślali tej dobrej woli działania milicyjnego. Ale w zanadrzu mieli już działanie szybsze i efektywniejsze. Przypomnino sobie, że w fabrycznym ośrodku kolonijnym potrzebny jest pomocnik kierownika, a przytem fachowiec od drobnych napraw, od sprzętu mechanicznego i instalacji. Gdyby tak ulokować Marka na tych koloniach — miałby oprócz wypoczynku również poczucie własnej niezbędności, no i miałby przytem wikt i opierunek. I co najważniejsze — środowisko nasycone młodością i beztroską. W tym środowisku łatwiej już o narodziny jakiejś przyjaźni, koleżeństwa.

Uczepiono się tej myśli i zrealizowano ją. A potem? Gdy kolonie skończą się i przyjdzie jesień? Ustalono program perspektywiczny — chłopaka umieści się w jakimś dobrym internacie, w fabryce organizacja ZMS postara się, aby dostał atrakcyjne stanowisko w wyuczonym zawodzie. I trochę się nim zajmie — już tylko jako młodym człowiekiem, któremu brak domu i któremu każdy winien odrobinę ciepła, aby z tych cząstek mogło się uzbierać coś, co w sumie stworzy atmosferę, której chłopcu od lat brakuje.

Wybrano też w fabryce — zaraz po tym spotkaniu — człowieka, który będzie opiekunem Marka na co dzień. Będzie jeździł na te kolonie i przyglądał się jak układa się życie chłopakowi, będzie myślał też o jego najbliższej przyszłości. Bo powoli rodził się również plan działania na okres, w którym skończy się młodość, której Marek właściwie nigdy w pełni nie zaznał — a zacznie wiek dojrzały z jego obowiązkami i zadaniami. Marek kiedyś założy własny dom — chyba będzie lepszy niż ten dom, w którym mieszkał wraz z ciotką. Więc problem mieszkania na pewno zaistnieje — i tu nie obejdzie się bez społecznej pomocy. A potem — niezależnie chyba od tego kiedy milicja wywalczy w sądach prawowite ojcostwo chłopakowi — wejdzie on w prawdziwe życie. Dobrze więc, że na ten późniejszy okres świadomego udziału w życiu zachowa nieco dobrych wspomnień związanych z dniem dzisiejszym, z ludźmi, którzy wstrząśnięci wiadomością, że dostał się do Izby Wytrzeźwień, wyciągnęli doń rękę.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Kołobrzeskie o żołnierzu śpiewanie

Dziś trzeba mówić o piosenkach, jako że jesteśmy w pełni sezonu festiwalowego. Trwa on zresztą nieprzerwanie przez cały rok, przybierając — jak to u nas bywa — absurdalne nieco rozmiary. Zgodziliśmy się z eniuzjazmem na Festiwal Sopocki, i ma on do tej pory rację bytu — jest międzynarodowy.

Lubimy opolski — bo polski. Dużym wzięciem wśród piosenkarzy-amatorów cieszy się impreza zielonogórska, która popularyzuje melodyjne piosenki radzieckie. Ale oprócz tego mamy jeszcze: Festiwal Muzyki i Piosenki Młodzieżowej, Festiwal Piosenki Studenckiej, Festiwal (bliżej mi nieznany) w Zielonej Górze.

Poza licznymi giełdami, konkursami i turniejami piosenkowymi odbywa się również — daję słowo honoru — Festiwal Piosenki Esperanckiej. W Białymstoku.

Mimo wszystko wydaje mi się, że nie ma sensu wytaczać dział wielkiego kalibru przeciw festiwalom. Te bowiem, które opierają się na bezsensownych zasadach i tak umrą śmiercią naturalną. A zresztą — różność i mnogość daje nie byle jakie możliwości poznawcze, co rusz to poznajemy innego geniusza, suwerennie panującego na własnym terenie. W Opolu np. od lat już triumfy odnosi cichy mocarz pióra, a wielkie jego sukcesy pięknie współgrają z ważną funkcją, którą onże na festiwalu piastuje. Sopot zarezerwowany jest dla talentów organizacyjno-administracyjnych innej już osobistości. W Kołobrzegu zaś niepodzielnie panuje jeszcze ktoś inny — tym razem tytan pięciolinii. Dzięki festiwalom studenckim poznajemy się z potęgą piosenkarskiej twórczości Krakowa itd., itd. Myślę, że nie jest to najgorsza sytuacja. Bo co by było, gdybyśmy mieli tylko jeden festiwal?

Zostawiając sobie na potem dalsze złośliwości, chciałbym dziś zająć się najmłodszym, bo liczącym dwa zaledwie lata festiwalem. W połowie lipca odbył się w Kołobrzegu II Festiwal Piosenki Żołnierskiej. Zarówno lokalizacja imprezy, jak i jej przewodnie idee wydają mi się godne najwyższego uznania. Kołobrzeg jest miastem bardzo pieczołowicie kultywującym pamięć o żołnierzu polskim, który na swoim szlaku bojowym natknął się na jedną z najtrudniejszych przeszkód — Wał Pomorski z Kołobrzegiem. Dlatego dobrze się stało, że właśnie stamtąd wyszła inicjatywa zorganizowania takiej imprezy. Imprezy, w trakcie której nie tylko śpiewałoby się piosenki o wojsku polskim, o jego historii i tradycjach, o jego współczesności, ale też śpiewałoby się piosenki przeznaczone dla żołnierzy. Skoro więc festiwal został pomyślany bardzo sensownie i nie można mieć pretensji do jego założeń programowych, wypada się zastanowić, jak te piękne założenia są realizowane w praktyce.

Materiału do tego rodzaju spostrzeżeń jest wiele, bo II Festiwal Piosenki Żołnierskiej nastręczył różnych okazji do obserwacji. Niestety — nie zawsze budujących. Impreza została zaprojektowana jako wielka: wielkie hasła, wielki oddźwięk społeczny, wielkie zainteresowanie, wiele publiczności. Nie pomyślano jednak o wielkiej organizacji i dlatego festiwalowi towarzyszyło trochę bałaganu.

Festiwal kołobrzeski rozgrywany jest w dwóch pionach: najpierw walczą o palmę pierwszeństwa amatorzy, śpiewają znane na ogół piosenki, bądź własne kompozycje, potem zaś piosenkarze zawodowi starają się zdobyć laury dla wykonywanych przez siebie premierowych przeważnie piosenek.

Ze smutkiem trzeba stwierdzić, że konkurs amatorów stał na żałosnym wręcz poziomie. Piosenki w najlepszej wierze produkowane przez domorosłych twórców nasuwały przeważnie myśl, że podejmowanie przez nich tematyki martyrologicznej jest po prostu nietaktem — ze względu na gust artystyczny i umiejętności warsztatowe. Ukoronowaniem tej twórczości był występ grupy instrumentalno-wokalnej „Tarany" — występ — horrabile dictu — nagrodzony przez jury. Nawiasem mówiąc, ten właśnie wypadek potwierdza znaną prawdę o tym, jak łatwo przyjmują się złe przykłady. Wystarczyło, aby bożyszcze nastolatków — „Czerwone Gitary" zastosowały (w skądinąd dobrej piosence) nahalny, nieuczciwy chwyt ze składaniem symbolicznych kwiatków na symbolicznej partyzanckiej mogile — i już rośnie nam szereg przykładów na prymityzowanie prymitywów. Jest to groźne, jeśli policzymy, w ilu tandetnych tekstach wzywa się publiczność polską do pamiętania o wojnie i Wrześniu. Robią to ludzie osiemnasto i dwudziestoletni. Wolałbym, aby się oni czegoś o Wrześniu uczciwie nauczyli.

Tej właśnie niesłychanie spłycanej tematyce towarzyszył przeważnie dziki hałas elektrycznych gitar, fałszywie śpiewane melodie, brak podstawowych umiejętności interpretacyjnych. I sądzę, że obraz byłby zupełnie apokaliptyczny, gdyby nie fakt, iż z morza miałkości wyłowiono kilka prawdziwych talentów: Elżbietę Igras z Lublina, Irminę Krauze z Torunia czy Waldemara Kocnia z Warszawy.

Nieco inaczej przedstawiała się sprawa w festiwalowym konkursie na najlepszą piosenkę. Tu, poza nielicznymi wyjątkami, nie można było narzekać na poziom wykonawstwa. W paru przypadkach przerosło ono oczekiwania, ci zaś piosenkarze, którzy nieco zawiedli, łatwo wytłumaczyć się mogą tym, że śpiewali słabe piosenki. Bo tak jest, niestety — piękna idea nie dała jeszcze oczekiwanych rezultatów.

Nie mówiąc już o muzyce — nieciekawej i nieprzebojowej — w której nagminnie powtarzały się cytaty z utworów od dawna znanych (a dobry zwyczaj podawania źródła cytatu uległ już zapomnieniu), warto się przyjrzeć zawartości treściowej tekstów. Tematyka ich jest dwojaka, bo wg recepty kołobrzeskiej o żołnierzu można:

a) rzewnie, wspomnieniowo, w pejzażu białych krzyży otoczonych drzewostanem składającym się z brzozy, sosny i dewizowej (dla Amerykańskiej Polonii) wierzby nadwiślańskiej;

b) dziarsko, rześko, na nutę „fajnie w woju jest", „kapral mnie ochrzanił, ale dziewuchy mnie lubią".

O ile w tym pierwszym nurcie panuje uleczalne przegięcie w stronę taniego dość sentymentalizmu, o tyle drugi jest ciężej chory. Wydaje mi się, że swą wesołkowatością adresowany jest do ciemnego, przechodzącego 80 km dziennie piechura sprzed lat 40. Mam wrażenie, że autorzy tylko mgliście zdają sobie sprawę z tego, jak wygląda poziom umysłowy współczesnego żołnierza i na wszelki wypadek celują niżej. Sądzę, że wojsko, troskliwy i możny mecenas — stworzy zaprzyjaźnionym twórcom okazję do skonfrontowania błędnych wyobrażeń z rzeczywistością.

A na koniec wyznanie — wcale nie wynikające z lokalnego patriotyzmu. Wielu blasków przysporzył festiwalowi bardzo liczny udział łodzian. Przede wszystkim powiedzieć tu trzeba o znakomitych recenzjach, które absolutnie zasłużenie zebrała orkiestra naszej Rozgłośni Polskiego Radia kierowana przez Henryka Debicha.

Festiwal kołobrzeski stał się potwierdzeniem, że w przeciągu ostatnich lat jej poziom artystyczny niebywale się podniósł. Sześćdziesiąt kilka osób łódzkiej orkiestry — to mogłoby wystarczyć na cały festiwal, ale na tym udział łodzian się nie kończy. Był na nim m. in. Czesław Majewski, który wraz ze swym zespołem niezmordowanie, choć syzyfowo towarzyszył solistom — amatorom, był brawurowo śpiewający Krzysztof Cwynar, była ubiegłoroczna laureatka Maria Jarzębska, która ma szanse stać się piosenkarką wysokiej klasy. I Jan Gwóźdź, dziękujący nagrodzie dziennikarzy. Przypadła ona piosence „No to co" — „Przybyli ułani pod okienko". Czy fakt ten nie jest jednocześnie: prawidłową oceną, dobrym dowcipem i ostateczną pointą? Miejmy nadzieję, że ostateczną — tylko na ten rok.

JERZY WILMAŃSKI

Listy spóźnione o parę stuleci

Nie, proszę Państwa — nie ja wpadłem na ten pomysł. I pewno też nie wymyślił tej zabawy mój kolega po piórze z kieleckiego „Słowa Ludu", wysyłając list pod adresem: Zygmunt Waza, Warszawa, Plac Zamkowy. Otrzymał oczywiście list z powrotem z adnotacją: „adresat nieznany".

Czyżby warszawska poczta nie znała króla? — pomyślałem. A może król nie na czasie i dlatego?

Usiadłem więc i machnąłem pięć listów do Warszawy. Do Adama Mickiewicza (ul. Krakowskie Przedmieście), do Jana Kilińskiego (ul. Podwale), do księcia Józefa Poniatowskiego (ul. Krakowskie Przedmieście), do Fryderyka Chopina (Park Łazienkowski) i do redaktora Bolesława Prusa...

Nazwiska w spiżu dźwięczą — może jeden książę trochę nie na czasie, ale przecież jego pomnik stoi przed budynkiem Rady Ministrów na Krakowskim... Czasu minęło — jak to dawniej mówiono — małowiele i dostałem listy z powrotem.

Pomnik warszawskiego szewca Jana Kilińskiego stoi sobie na Podwalu od lat — któż nie zna tego symbolu patriotyzmu... Na kopercie adnotacja: „na ulicy Podwale adresat nieznany, proszę podać numer domu i mieszkania". Ba!

Mickiewicza załatwiono podobnie: „Krakowskie Przedmieście od numeru 52 do 68 adresat nieznany". Szkoda, że tylko do 68, bo parę domów dalej jest kamieniczka, gdzie mieści się Związek Literatów. Tam by może znali... Ten sam listonosz załatwił odmownie Józefa Poniatowskiego: „od 52 do 68 — nieznany".

Z Chopinem i Prusem nikt już się nie ceregielował. Przyłożyli tylko pieczątki: „adres niedokładny".

Kraków, z którym wiązałem pewne nadzieje — też się nie popisał. Wysłałem tam list do Adama Mickiewicza myśląc, że może tamtejsza poczta nie obejdzie się z Wieszczem tak obcesowo jak stolica.

Ale gdzież tam! Dostałem „zwrot" po krakowsku solidny. Przyłożyli pieczęć: „należy podać ulicę i numer domu" (adresowałem na pomnik) i dodali jeszcze po francusku: „Retour manque d'indication de rue et de numero". Trzecia pieczątka informowała, że adresat jest doręczycielom nieznany, i że poszukiwano go bezskutecznie. I to samo po francusku. Ponadto — już odręcznie — wyjaśniono, że żaden Adam Mickiewicz nie jest znany w rejonie pocztowym... 44. Święci Pańscy! Jak na ironię w rejonie Czterdzieści Cztery!

Powie ktoś — czego się spodziewałeś? Że do świętego Piotra listonosz pójdzie z twoim listem? Nie — nie tego się spodziewałem — odrobiny pomysłowości tylko i szczypty poczucia humoru. Jest w Warszawie i Krakowie parę dziesiątków instytucji którym — gdyby chcieć pomyśleć — można było doręczyć listy adresowane do Mickiewicza, Chopina, Prusa... Wysłałem przecież także list do Stefana Jaracza w Łodzi. Na łódzkiej poczcie szare komórki jednak pracują. Zgodnie z logiką list doręczono... Teatrowi im. Jaracza. A o to tylko szło. O myślenie, które ma, podobno, kolosalną przyszłość.

Ale to nie koniec. Tak się szalenie rozbawiłem, że wysłałem też list: Jan Kochanowski, Czarnolas, pow. Zwoleń, woj. Kielce. I co powiecie? Dwa dni później otrzymuję list z... Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Czarnolesie. Anonimowa urzędniczka GRN pisze w te słowa:

Gościu, przybądź na mą ziemię
zapraszam Cię szczerze
nie mow, że nie możesz
bo ci nie uwierzę.

Ona Cię ukoi swoją cudną wonią
I pszczoły w kwiat lipy pięknie Ci zadzwonią

Szczerze Cię przyjmiemy i kamień i lipa
Jeśli będziesz jechał o adres nie pytaj.

Bo ja jestem tutaj gdzie to pachnie miodem
gdzie lipa swym liściem w zgodzie żyje z chłodem
Będziesz chciał odpocząć — siądziesz na kamieniu

Tu ja często siedząc myślę o wrażeniu
z szerokiego świata
co mi figle płata
Więc jeszcze raz proszę do swej miejscowości
Jeśli tu przybędziesz a jesteś Polakiem
serce Ci urośnie.
I wzrok swój zawiesisz na parkowej sośnie
Lutnia się odezwie miarowo, żałośnie...
Duch Twój spojrzy w górę
Wysoko ponad chmurę
I drzwi się rozewrą, pokoje zaproszą w swe progi
A dech Ci coś zaprze gdy przełożysz nogi
więc przyjedź — ja proszę
I czapkę z daleka wraz z piórem podnoszę.

Wzruszył mnie ten wiersz przysłany z Czarnolasu. Ten prosty ludzki odzew, to wzruszające utożsamienie się z piękną tradycją Czarnolasu... Tam w Warszawie mechaniczny gest — pieczątka „zwrot", „od numeru 52 do 68 — nieznany" — a tu tyle serca i poezji...

Rozkleiłem się zupełnie i... machnąłem dalsze listy. Do Marii Walewskiej w Kiernozi, do Mikołaja Reja w Nagłowicach, do Andrzeja Fryeza-Modrzewskiego w Wolborzu i do Władysława Reymonta w Kobielach Wielkich...

Z Wolborza otrzymałem zwrot, ale listonosz był człowiekiem zorientowanym. Na kopercie napisał: „Adresat zmarł 400 lat temu". Frycz-Modrzewski był w XVI wieku wójtem w Wolborzu — w głębi duszy myślałem, że może list dotrze do aktualnego wójta. Ale dzięki i za to. Wiejski listonosz przemierzający drogi i dróżki na swym na pewno sfatygowanym rowerze zrobił i tak o wiele więcej niż jego stoleczni koledzy.

Oto poczta przynosi mi dwa nowe listy. Pisze pani Genowefa Błaszczykiewicz — naczelnik Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego w Nagłowicach. „Mam poczucie humoru — pisze pani Genowefa — i w związku z tym stwierdzam, że list jest opóźniony co najmniej o cztery wieki. Sądząc jednak, że zainteresuje on organizatorów tegorocznej uroczystości 400-lecia śmierci Mikołaja Reja, skierowałem go do Biblioteki Gromadzkiej".

Brawo!

Pan Zenon Treter — kierownik Biblioteki w Nagłowicach tak pisze do mnie: „miejscowy Urząd Pocztowy nie uprościł sobie sprawy i nie zwrócił listu z adnotacją „adresat nieznany" lub „adresat nie przebywa" — lecz skierował list do nas. Jesteśmy bowiem bardzo zainteresowani życiem i twórczością Mikołaja Reja — wchodzimy w skład organizatorów tegorocznej uroczystości 400-lecia Wielkiego Polaka połączonej z otwarciem Izby Pamiątek po „ojcu piśmiennictwa polskiego". A może w tej Izbie znajdzie się miejsce na korespondencje maniaków wysyłających listy spóźnione o cztery stulecia?

Spłatała nam figla pani Maria Walewska. Na list wysłany do Kiernozi (pow. Łowicz) nikt nie odpowiedział, ale także... list do mnie nie wrócił. Więc teraz jestem w rozterce i nie wiem — podobnie jak naukowcy, którzy szperali po trumnach w kiernoskim kościele — jest — że tam Walewska czy też nie?

No cóż — na tę tajemnicę gotów jestem przystać — ale Reymont? Urodził się w Kobielach Wielkich (pow. Piotrków Trybunalski) i tam wysłałem list... Nikt nie odpowiedział i listu poczta nie zwróciła. Więc znów nie wiem — znany jest Reymont w Kobielach czy nieznany? Podobne wątpliwości dręczą mnie w sprawie Mikołaja Kopernika. List wysłany do Fromborka nie wrócił — odpowiedzi także żadnej nie było...

W ten sposób zniechęciłem się do dalszej korespondencji — list do Kopernika był trzynastym i ostatnim.

Czytelnikom oszczędzę tzw. wniosków — była to przecież tylko płocha zabawa. Miło mi jednak, że dzięki tym listom wysyłanym w minione stulecia poznałem myślących, dowcipnych ludzi z wieku dwudziestego: panią Błaszczykiewicz i pana Tretera z Nagłowic, urzędniczkę-poetkę z Czarnolasu, listonosza z Wolborza... Ludzi, którzy w naszym zgiełkowym i zautomatyzowanym wieku potrafią się zatrzymać nad niecodziennym listem. Zatrzymać i pomyśleć.

Fot. K. Janaszewski

KAROL BADZIAK

Wczasowiska

Uwaga! Las! — głosi napis umieszczony na tablicy przy drodze z Tomaszowa do Spały. Napis najwyraźniej świadczy o tym, że leśnicy mają dość kiepskie mniemanie o spostrzegawczości przybyszów kierujących się w te strony. Trudno przecież lasu nie zauważyć. W pobliżu Tomaszowa las jest biedny, karłowaty o zachwianej równowadze biologicznej. Widać na nim rezultat działania wyziewów z pobliskich zakładów, reszty dopełniają szkodniki. Im głębiej w las, tym oczywiście więcej drzew i większe drzewa. W samej Spale byłoby jeszcze całkiem znośnie, gdyby nie opary unoszące się znad rzeki.

Spała optycznie jest naprawdę ładna. Jeśli spodobała się carowi Aleksandrowi III, spodobała się prezydentowi Ignacemu Mościckiemu, dlaczego nam nie miałaby się spodobać. Położona wśród żywicznych lasów, pięknie utrzymana, jest wymarzonym miejscem do wypoczynku.

A rzeka? Kto ma czułe powonienie i delikatną skórę niech się nie kąpie, tylko idzie na grzybki. Oczywiście nie za daleko, bo może zbłądzić. Poza tym służba leśna jest gościnna, ale drzwi do lasu uchyla powściągliwie.

Napisałem trzy zdania a w każdym powód do obrazy. Wobec tego wyjaśniam. Wcale nie uważam, że w Pilicy mogą się kąpać tylko gruboskórni i zatwardziali a reszta ma błądzić po lesie pod czujnym okiem gajowych. Uważam natomiast, iż dobrze się stało, że Spała się nadal nie rozbudowuje i że mądrze postąpili łódzcy włókniarze, wycofując się z tej miejscowości i budując swój ośrodek w Ustce, a dom w Arturówku. Jak wiadomo, ocena tutejszego mikroklimatu dokonana swego czasu przez naukowców nie wypadła dość pomyślnie dla Spały.

Pan kierownik Pigoń jest niejako rezydentem i gubernatorem FWP na tej leśnej wyspie. W dniu, w którym przyjechałem, zastałem go właśnie nad opracowywaniem planów perspektywicznych rozwoju Spały. Plany idą raczej w kierunku modernizacji i podwyższenia standardu ośrodka. Pomijając bowiem mikroklimat, sama pojemność lasów spalskich jest przecież ograniczona.

Spała wybroniła się na szczęście przed ośrodkami zakładowymi, które agresywnie wdarły się do lasu w Teofilowie. W Spale zdążyli się zainstalować tylko nauczyciele i kolejarze, bodajże aż z Lublina.

Przy okazji parę słów o ośrodkach zakładowych. Na bezkrytycznym oku robią one wrażenie bardzo miłe. Lekkie, niby tanie domki campingowe wśród wysokich sosen, rodziny na wczasach, radość dzieci, śpiew ptaków, jednym słowem widok budujący, optymistyczny, ludzie pracy wypoczywają na łonie przyrody.

Ale i na tym koniec zalet. Domki są prowizoryczne, łatwo niszczeją, ponieważ prawie 10 miesięcy w roku stoją bezczynnie. A w ogóle każdy dom, domek, a nawet pałac ma to do siebie, że szybciej się zużywa, gdy stoi pusty, niż wtedy, kiedy jest zamieszkały.

Po wtóre domki umieszczone wśród cienistych drzew z pozoru wyglądają malowniczo, faktycznie brak słońca wpływa ujemnie na zdrowie i na samopoczucie.

Po trzecie zmuszają one pracowników do corocznego przebywania w tej samej miejscowości, co kłóci się wyraźnie z ideą poznawania kraju w trakcie urlopu i wypoczynku.

Po czwarte, jak wykazały badania przeprowadzone przez związki zawodowe, w śląskich ośrodkach przyzakładowych rozdział miejsc do takich ośrodków jest mniej demokratyczny niż do FWP. Oznacza to, że w większej mierze korzystają z nich pracownicy administracyjni niż produkcyjni, częściej kierownictwo niż załoga.

Po piąte koszty prowadzenia ośrodków zakładowych są wyższe niż ośrodków FWP.

W tym roku mija właśnie 20 lat istnienia FWP, ale osiągnięcia rekreacyjne, organizacyjne i ekonomiczne tej instytucji są zbyt mało znane i doceniane. Są one wielokrotnie wyższe i lepsze niż osiągnięcia wczasów zakładowych. Niestety, rozwój FWP stanął w miejscu. Dość powiedzieć, że na przestrzeni 20 lat istnienia wzniesiono zaledwie trzy nowe budynki. Właśnie stagnacja w rozwoju bazy wypoczynkowej FWP stała się główną przyczyną, dla której nastąpiła tak ostra eksplozja budownictwa ośrodków zakładowych. Dziś baza wypoczynkowa ośrodków zakładowych jest czterokrotnie wyższa niż baza FWP, niemniej z wczasów FWP korzysta rocznie nadal więcej ludzi niż z wczasów w ośrodkach zakładowych. To daje dużo do myślenia.

Obecnie istnieje wprawdzie tendencja do zahamowania budowy ośrodków-prowizorek, ale w miejsce ośrodków, które za 3—5 lat znikną, muszą powstać nowe. Zahamowaniu tempa rozwoju ośrodków zakładowych powinien towarzyszyć równocześnie wzrost tempa rozwoju ośrodków FWP. Inwestycyjne założenia II Plenum KC PZPR i w tej dziedzinie przecież obowiązują, zwłaszcza na szczeblu programowania i wyboru kierunków rozwoju.

Jest w dziedzinie wypoczynku jeszcze jedna nie wykorzystana dostatecznie szansa. Mam na myśli „wczasy pod gruszą". Inicjatywa wyszła swego czasu od Spółdzielni Turystycznej „Gromada" i nie doczekała się realizacji na szerszą skalę. Ostatnio również FWP zainteresował się tą formą wypoczynku. Mamy na terenie kraju około 12 tysięcy wiosek, gdzie można organizować tego typu wczasy. Nie jest to mało. Brak było dotychczas popularyzacji, no i odpowiedniej organizacji. FWP przede wszystkim preferuje na wsi wczasy rodzinne. Przykładem może być tutaj Inowłódz, wieś o dużych walorach krajoznawczych i rekreacyjnych. Gospodarze tej wioski sami zainicjowali u siebie „wczasy pod gruszą". Wynajmują pokoje Funduszowi z okręgu warszawskiego. Fundusz z kolei zrewanżował się wybudowaniem stołówki we wsi. Współpraca układała się do tej pory bardzo dobrze. W sezonie nad całością czuwa specjalny przedstawiciel FWP z Warszawy.

Spotkałem w Inowłodzu wczasowiczów z Elbląga, Poznania, Zakopanego, Katowic i szeregu innych miast. Wszyscy przeważnie zadowoleni z pobytu. Gospodarze również się starają, inwestują, instalują w domach łazienki, ba, uczą się pewnej kultury bycia. Wioska rocznie otrzymuje zastrzyk finansowy w granicach 200—300 tys. zł. Podupadły Inowłódz zmienia się dzięki temu, przeobraża i pięknieje.

Jedno tylko w tym wszystkim jest symptomatyczne. W Łodzi nie dostrzeżono Inowłodza. Dostrzegli go w Warszawie. Parę lat temu opracowano przecież plany zagospodarowania tej miejscowości, stworzenia z niej ośrodka wypoczynku świątecznego. Delegacja gospodarzy z Inowłodza była nawet w Łodzi, w poszukiwaniu owych planów. Odpowiedziano im, że plany zaginęły.

A może jednak warto poszukać?

HENRYK CZARNECKI

Egzamin wstępny

Wydłuża mu się okrągła twarz, oczy nabierają charakterystycznych odcieni, we wnątrz duszy zachodzą jakieś procesy — być może — nawet chemiczne.

Stwardniałe od pracy dłonie twardnieją teraz inaczej: nie straszą swoją bezmyślnością. I jeśli są nawet brudne, to nie tym brudem co dawniej. Trzymając w ręku pióro rozsuwają się pory, brud sam wytapia się z wnętrza tych rąk i pozostaje tylko na zewnątrz.

Może tylko nogi skulone pałąkowato pod ławką nie umieją jeszcze nabrać skupionej pozycji. Pewnie dlatego, że zbyt oddalone są od głowy, która zajęta teraz myśleniem nie ma czasu myśleć o nogach. Ale odległość od głowy do nóg na pewno jest teraz mniejsza niż z dołu do góry niezależnie od właściciela, naturalnym pra wem fizyki, spłynie do stóp coś z dostojeństwa nauki i z czasem nogi nabiorą też intelektualnych manier.

* * *

Wciśnięty w ławkę, która jest dla niego za mała co najmniej o dwadzieścia lat, czu je się w niej jak w samochodzie, z któ rego ukradli mu nagle kierownicę. Hamul ce popsute, kierunkowskazy nie działają benzyna wywietrzała...

A wydawało się, że wszystko jest pro ste, gdy dogadał się już sam z sobą. Świa dectwo z ukończonej przed wojną podsta wówki jest, głowa też u góry tułowia a nie odwrotnie, charakter pisma ładny, tabliczkę mnożenia mógłby recytować choćby po pijanemu. Dlaczego więc miał by nie zdać?

I nagle ławka się kurczy, ściska ze wszystkich stron, dźwięk pytań obezwładnia. To już nie kontrolowany poślizg, ale jazda z zamkniętymi oczami. Na jezdni tłok: trzech kandydatów na jedno miejsce.

* * *

Z rzeczownikiem — pół biedy. Przynaj mniej coś konkretnego. Można go wziąć do ręki, przyjrzeć się, ale co zrobić z cza sownikiem, skoro przez tych dwadzieścia kilka lat człowiek nie miał czasu, by wszystko z czasu przeszłego zapamiętać?

Albo taki zaimek... Toż to, cholera, ma łe i zawieruszyło się gdzieś w dziecięcym tornistrze. Ale było coś takiego, na pew no. Albo coś równie małego jak śrubka od gaźnika.

Zaraz... Jak to się pisze małżeństwo? „Mału...", czy „mało..." A może, zwyczaj nie: „maożeństwo"? Człowiek żonaty już od piętnastu lat, a żeniąc się nie pomyślał jak to się pisze.

Ale na hamulec już się nie da nabrać. Skoro podają takie trudne wyrazy, to wia domo, że muszą być na „ó". Nawet się wymienia na hamować — tyle jeszcze pa mięta. Gorzej z tą próbą. No, ale przecież wszystkie wyrazy nie mogą być na „ó": co by to było za dyktando. W każdym razie ten klient, który przyniósł hamulec do naprawy i któremu po próbie świateł trze ba było wymienić także żarówkę, zmęczył go bardziej niż gdyby to wszystko musiał robić naprawdę. Nic dziwnego: w warszta cie miałby wszystkie narzędzia pod rek , a tu...? I żeby to tylko jeden klient. Ale profesor zaraz z całą naprawą główną. Łatwo mu mówić. Widocznie nie zdaje so bie sprawy, ile by taki remont kosztował w prywatnym zakładzie. I ile by musiał na niego czekać w sezonie.

Trudno. A tak się już nastawił na tę szkołę. Chciał sobie coś jeszcze w życiu dokręcić, dojechać trochę dalej, choćby i po wyboistej drodze pięcioletnich wyrzeczeń. Nie boi się przecież trudów: nic dotąd nie przychodziło mu łatwo.

Głupio tylko się będzie przyznać kobiecie i dzieciakom. Przestaną się z nim w domu liczyć. „Tata nie zdał, bo tata nie zna tabliczki mnożenia". Jaka tam tablicz ka, głupolu. Ułamki kazali obliczać, sztukę z telewizji opowiadać. Też byś nie wiedział, bo po całych dniach tylko ganiasz za piłką.

Zrobiło mi się go żal. Drży mu przecież ręka. Małe pióro z trudem mieści się w zbyt dużej dłoni. Na pewno tak samo drżałaby ręka mojemu ojcu. Bo człowiek drży tylko wtedy, gdy coś istotnie posiada dla niego wartość.

* * *

W sąsiedniej ławce ktoś inny czeka na swoją kolejkę. Małe oczka w półuśmiechu śledzą egzamin. Na takie łatwe pytania on potrafiłby odpowiedzieć natychmiast.

— Jaką książkę pan czytał ostatnio?

— Kodeks drogowy!

Bez zająknienia. A przy okazji pochwalił się znajomością przepisów. W technikum samochodowym rzecz to ogromnie pewnie ważna. Książka zresztą gruba, twarde okładki. A że trup gęsto się nie ściele? Pewnie dlatego, że to nie kryminał chociaż każda stronica pachnie mandatem, kryminałem, cmentarzem.

Nie. Innych książek ostatnio nie czytał. Kto by tam miał czas na książki. Ledwie się ekspresiaka zdąży przeczytać w tramwaju. I też nie całego. W teatrze?... Owszem. Raz był. Dawno. Ale się zraził. Bufet też licho zaopatrzony. Co najbardziej lubi w telewizji? Oczywiście Bonanzę. Bo Świętego już nie dają. A z rzeczy poważniejszych — wiadomości sportowe i program rozrywkowy z Katowic.

— Zna pan jakiegoś pisarza, poetę, dra maturga?

— Osobiście?

— ???

— Bo osobiście to znam. Nazwiska mi nie mówił, ale go często wożę taksówką. Taki redaktor z „Expressu".

— Ma pan taksówkę?

Chcę mu, po prostu, rozwiązać język. Posłuchać nie tylko co, ale i jak mówi. Poznać jego zamiłowania. I rzeczywiście: tu, na znajomym mu terenie, odzyskuje nagle refleks, czuje się pewnie, gdy wyjechał z ciasnego zaułka ławki.

— Nie. „Na skoczka" tylko jeżdżę. Ale gdyby profesor potrzebował kiedy taksi na ślub, albo na chrzciny, to problemu nie ma. Załatwi się.

Ale byłaby heca! Teczkę musiałby sobie kupić. Piórnik... Profesor nie wygląda wcale na urzędnika. Gdyby nie te ławki, wyglądałby całkiem po ludzku. Trochę nawet podobny do szwagra: też ma taką wąziutką buźkę.

Matematyk też „klawy". Trochę podobny do proboszcza z tym kółkiem na czubku głowy. Ale pali sporty. Znaczy się, albo go nie stać na lepsze, albo swój chłop i nosa nie zadziera.

— Niech pan spróbuje teraz to dodać — zapala następnego sporta matematyk. — Jedna czwarta plus jedna czwarta.

Tu go wreszcie zagięli. Dętkę to by w pięć minut wymienił, ale ułamki...

Matematyk bierze do ręki kredę i rysuje na tablicy kwadrat. Potem go dzieli na cztery równe części.

— Proszę popatrzeć! Ćwiartka i ćwiartka to ile razem?

— Pół litra!

* * *

Co to jest egzamin wstępny?... Nie wiem. Chyba tylko możność porozmawiania z nimi. Do szkoły podstawowej daleko. Nawet murów nie widać. I czego tu mamy teraz szukać? Zaimków? Aż wstyd o nie pytać. Ci ludzie zdecydowali się przecież na coś więcej. Kowalski ma już czterdzieści lat. Telewizor trzeba by kupić. Lodówkę... Fachowców w jego branży niewielu i mógłby korzystniej czas spędzić. Cóż z tego, że ukończy nawet szkołę? Sto złotych więcej do pensji. Albo i nie. A przez tych pięć lat mógłby dorobić po godzinach sto razy po te sto złotych.

A on siedzi na sali i pisze. Zapełnia egzaminacyjny arkusz twardym pismem. Zdania proste, chropawe, ale gdyby wypolerować je choćby pilnikiem? Może warto Kowalskiemu zaufać, udzielić mu kredytu?

Palcem wskazuje, gdzie powinien postawić przecinek. Rzecz niby drobna, ale to dodaje mu otuchy. Nie może być przecież źle, gdy o przecinek tylko chodzi.

* * *

Albo ten z półlitrówką. Szklana, obiegowa moneta w narodowej, polskiej relacji. Ćwiartka to ćwiartka. Jeśli dwie to koniecznie pół litra. Rachunek prosty, sko jarzenie prawidłowe, przeraźliwie bliskie.

Uczepił się także ,taksówki i chciałby nią wjechać do szkoły. W dodatku nie własną. Bo i skąd? Garniturek zmięty, ni cowany, z prawej strony u góry blizna po zaszytej kieszonce...

Ale to dobrze, że chce. Że nie wystar czają mu klucze francuskie, które zdobył do tej pory, że wśród wielu rzeczy, których mu brakuje, brakuje mu czegoś jeszcze. Że chce dojechać tu za wszelką cenę. Z własną stratą — bez włączania licznika w taksówce.

Przewijają się przez salę. Jak przechod nie o twarzach podobnych do siebie. Jeszcze bezbarwni, wtopieni w bezkształtną masę. Dopiero gdy siadamy naprzeciw siebie, zaczynają rysować się ich kontury. Rekonstruuje przestrzeń między tymi kon turami: może coś tam jeszcze tkwi przyklejone do podstawy czaszki. Może tylko nazwy i terminy zdmuchnął wiatr, ale rdzeń wiedzy jeszcze obecny?

Lub choćby miejsce w głowie na te wszystkie cewki, silniki, matematyki, pół setki belfrów ze swoimi wymaganiami, gdy w domu jeszcze ze dwie żony, pół tu zina dzieciaków i mnóstwo dodatkowych obowiązków.

* * *

Trzech kandydatów na jedno wolne miejsce.

Ogromnie dużo tych wolnych miejsc. Po pięciu latach w maturalnej sali z wybra nej dzisiaj czterdziestki tylko siedem zna jomych nazwisk. Kiku dobije za rok, część przypomni się po kilku jeszcze latach, gdy pozałatwiają swoje prywatne sprawy, spo ro jednak zrezygnuje po drodze.

Pewnie, że spośród wielu zawsze można wybrać najlepszych. Tylko... którzy to są? Czy ci, którzy trzydzieści lat temu skoń czyli powszechniaka i w najprostszym dyk tandzie zrobili po trzydzieści błędów, czy ci, którzy zrobili ich tylko piętnaście, ale podstawówkę ukończyli stosunkowo nie dawno?

I tu i tam — kieszenie dziurawe. Z siedmiu klas zdążyli zgubić co najmniej pięć. A w pozostałych dwu — też jeszcze luki.

Fot. W. Parys

ANDRZEJ BISKUPSKI

POCZĄTEK WIERSZA

na wzgórzach trzeba ognie porozstawiać
aby mgła mogła trafić tu w swój dom —
by wiatry miały na dowód odwagę
albo choć ludzi idących równiną...
albo ów obszar tak rozległy jeden
który się w słowie pojedynczym mieści —
i które dla niego jest za — obszerne

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

EXODUS

Elżbiecie Osińskiej

Tam skąd wyszedłem — pozostaję
na zawsze przemieniony w echo

niby spojrzenie odrąbane
widoczne dla samego siebie

i choć mnie nie ma — nadal jestem
wśród tych co także nieobecni

Jeśli wyszedłem by pozostać
wiedząc, że nigdy nie powrócę

jeśli zostałem tam na zawsze
i mimo wszystko jestem w drodze

to idąc ciągle mijam siebie
gdy resztą o mnie już w przyszłości

LUDZIE XXV-lecia

Tadeusz Borowski — bohater tragiczny

Jest jakiś paradoks, jakaś tajemnica w sprawie Borowskiego, czy, co najmniej niewspółmierność. Jest jednym z najczęściej przywoływanych pisarzy polskich; mnożą się omówienia, jego twórczość egzemplifikuje przeróżne tezy, Grotowski połączy jej fragmenty z „Akropolis" Wyspiańskiego. Krótko mówiąc jego twórczość i osobowość jest w dwu dziestopięcioleciu ustawicznie obecna. A przecież życie i działalność Borowskiego obejmuje zaledwie niewielki wycinek tych lat. Do kraju wraca w 1946. Już w 49 wyjeżdża znowu na dwa lata. A w 1951 umiera.

Umiera mając dwadzieścia dziewięć lat, z których należy jeszcze odliczyć okupacyjny pobyt obozowy i więzienny. Na aktywne uczestnictwo w kulturze, w polskich sprawach przypada więc czasu niewiele. Na dodatek ta część twórczości Borowskiego, która wykazała tak wielką żywotność, nie odnosi się na pierwszy rzut oka wcale do rzeczywistości powojennej. Koncentruje się na problemach okupacji, na sprawach obozu. Potem te zainteresowania z pozoru nikną i gasną. Przychodzi okres świadomego i gorliwego uczestnictwa w problemach aktualnych. Powstają wtedy jednak płody bezpośrednio nieżywotne, a nawet oglądane z dzisiejszej perspektywy wręcz odstraszające. Ale mimo miał kości słów ciężar samej sprawy Borowskiego nie maleje. A przeciwnie, wzmaga się.

Gdyby się chciało wymienić jakąś podstawową i główną przyczynę tego stanu rzeczy, co jest oczywiście tylko w małym i do tego wątpliwym stopniu możliwe, to trzeba by przywołać nade wszystko krańcowość Borowskiego. Nie uznawał on nigdy kompromisu ani stanów pośrednich. W jego atakach nie odnajdziemy zrozumienia dla jakichkolwiek „okoliczności łagodzących": wyrozumiałości nie zna, a świat i ludzi ogląda w barwach zdecydowanych. I mimo że twórczość jego przechodziła przez różne stadia, krańcowość odnajdujemy zawsze w jednakowym natężeniu. W parze z nią idą determinacja, pesymizm, agresywność i sceptycyzm. I to od samego początku.

Debiut Tadeusza Borowskiego przypada na samą północ okupacji, na rok 1942. Przez następne cztery lata ukażą się jeszcze trzy następne zbiory poezji. Bo Borowski rozpoczyna jako poeta. I to prawie natychmiast jako poeta doskonały. Zarówno „Gdziekolwiek ziemia" jak i „Imiona nurtu" mają trwałe miejsce w dziejach literatury polskiej.

Borowski jest katastrofistą. Jego poetyka wyrasta organicznie z eksperymentów i dokonań poezji drugiej awangardy i to tego nurtu, który można by nazwać klasycyzującym. Bo był i trochę odmienny, zapatrzony w barok, nie gardzący baśniotwórstwem. Katastrofa przestaje się odnosić do jakiegoś jednorazowego, pojedynczego aktu historii. Staje się permanentnym stanem zagrożenia, rozciąga się na sprawy moralne i sens istnienia i kosmos.

Właśnie u Borowskiego ten stan rzeczy, widoczny w owym czasie i u innych jak Baczyński i Gajcy, zarysował się najostrzej. Sceneria jest widmowa, mglista i patetyczna. Rzeczywistość zaś nie wydaje się rzeczywistością ale koszmarnym snem. Tyle, że poeta po owym śnie nie przewiduje szczęśliwszego przebudzenia. Jest t y l k o sen. I nie ma z tego snu ucieczki i uciekać nie wolno. Objawia się tu z całą mocą tak znamienna dla Borowskiego determinacja: „jeżeli ziemia jest snem, to trzeba dośnić do końca, śnionym powietrzem oddychać i miłość i śmierć znać ze snu".

Tak więc Borowski rozpoczyna swoją drogę twórczą od postawy heroicznej. Na świat otaczający liczyć nie można, bo jego trwałość i rzeczywistość jest pozorna. Siłę i moc istnienia należy czerpać wyłącznie z siebie samego, działać wedle czegoś, co przypomina imperatyw kategoryczny Kanta. Bo nie można liczyć także na historyczny sens i sprawiedliwość własnego działania. Po epoce bestialstwa nadejdą znów czasy gdzie „wołanie znów, helotów śpiew i kupiec towar będzie ważył". Spuścizna po własnym działaniu i życiu także maluje się tylko w kolorach drwiny i sarkazmu: „zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń".

Postawa aktywna to nie tylko sprawa proklamacji. Borowski uczy się, robi maturę, studiuje polonistykę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Należy do „Drogi" — konspiracyjnej grupy poetyckiej i jest jednym z organizatorów życia kulturalnego. Działalność tę przecina aresztowanie (1943), więzienie i wysyłka do obozu. Kończy się epoka poezji, zaczyna czas weryfikacji siebie samego, czas, z którego Borowski wyjdzie zarazem zwycięski i zdruzgotany.

Pisarz przechodzi kolejno przez Oświęcim, Dautmergen i Dachau. Po 1945 zostaje jeszcze na rok w Monachium i tu ukazuje się jego pierwszy zbiór opowiadań „Byliśmy w Oświęcimiu", gdzie jest zresztą tylko jednym ze współautorów. Teraz rozpoczyna się okres dość jednolity w swojej wymowie ideowej i stylistyce. Należą tu zbiory „Kamienny świat", „Pewien żołnierz" (choć nie bez zastrzeżeń) i najsłynniejsze „Pożegnanie z Marią", będące zresztą w największej części wyborem z książek poprzednich.

Tematem wyjściowym tej prozy jest obóz. Nie jest to już literatura opisująca walkę, chyba że będzie to walka o byt, o przetrwanie. Na tle innych książek obozowych twórczość Borowskiego zajmie od razu pozycję odrębną, kontrowersyjną i budzącą niekiedy oburzenie. Rzecz polega na tym, że większość wspomnień przeprowadza podział na dobrych i złych. Źli są esesmani i ich pomocnicy, reszta to ofiary.

Borowski pierwszy powiedział jasno: obóz koncentracyjny pod względem moralnym nie oszczędzał nikogo. Wydzielanie grupy aniołów jest bez sensu. I właśnie jedną z potworności obozu było to, że nie mogło istnieć poczucie czystości moralnej. Kto by chciał sobie na nie pozwolić musiał umrzeć. Od strony literackiej użyty został chwyt znakomity, choć prowadzący do nieporozumień. Borowski relacjonuje w pierwszej osobie. To on jest cwaniakiem, on sam w zamian za buraka wydziera innemu więźniowi marny szczątek chleba, on na rampie przejmuje mienie pędzonych na śmierć Żydów. Powstrzymuje się przy tym od oburzeń, uczuciowych ekskalamacji czy moralnego komentarza. Relacjonuje zimno, bezlitośnie. Ten sposób relacji wzbudził zresztą oburzenie części czytelników, którzy literacką konstrukcję utożsamili z rzeczywistą postawą Borowskiego w obozie. Wedle wspomnień współwięźniów rzecz wyglądała zgoła inaczej; nie ma to zresztą w tej chwili istotnego znaczenia.

W każdym razie można powiedzieć, że Borowski wyszedł z obozu bez reszty zdruzgotany. Świat jawił mu się w barwach bezwzględnie ciemnych i odnosiło się to nie tylko do obozu. Złożyło się na to kilka elementów; niektóre trzeba wynotować koniecznie.

Najważniejsze było zatarcie podziału na „dobrych" i „złych". Każdy człowiek krzywdzi innych a z drugiej strony i sam jest krzywdzony. Jest więc zarazem i katem i ofiarą. W ten sposób pozycja człowieka nie jest już ustalona raz na zawsze, ale zmienia się dialektycznie. To sformułowanie było bardzo istotne i nowatorskie.

W ten sposób na pytanie czy człowiek może być w pełni moralny bez względu na okoliczności Borowski dał odpowiedź negatywną. Borowski nie zaleca jednak wcale bierności i bezradnego załamywania rąk. Przeciwnie, mieści się tu znany nam już nakaz czynnej determinacji, wyraża się zaś poprzez szczególną koncepcję nadziei. Znajdujemy ją w wielu miejscach, najdosadniej może w opowiadaniu „Człowiek z paczką" pochodzącym z tomu „Kamienny świat". Tu przeznaczony do gazu Żyd, zdający sobie doskonale sprawę ze swego losu, do ostatniej chwili nie chce się rozstać z paczką zawierającą jego nędzarską własność. Do ostatniej chwili liczy, że się coś wydarzy, że stanie się cud. Inni też tak robią i ostatecznie giną wszyscy nie próbując oporu. To właśnie paraliżujące działanie nadziei udaremniające ratunek. „Nie nauczyliśmy się wyzbywać nadziei i dlatego giniemy od gazu" — powie w innym miejscu dobitnie.

A więc właśnie „czarne" widzenie świata, zaprzestanie doszukiwania się lepszych, pocieszających okoliczności jest wedle Borowskiego warunkiem sprawnego, skutecznego działania. To mogło by istotnie uzasadniać bezwzględne, nie maskujące niczego stawianie sprawy. Czy jednak można to wytłumaczenie przyjąć za istotnie dobrą monetę? Mam pewne wątpliwości.

Niekiedy a raczej właśnie najczęściej, przynajmniej w opisywanych przez Borowskiego sytuacjach największa nawet determinacja nie przydałaby się na nic. Drugi człon rozumowania nie sprawdza się więc. Pozostaje część pierwsza, świadcząca o zakamienialej nienawiści pisarza — ale czy tylko do rzeczywistości obozowej? Przecież podobnie szyderczo traktowanie spotka także motywy z wojną i obozem mające luźny lub żaden związek. Borowski rozciągnie swoją nienawiść na „zwyczajne życie", będzie je drążył i przepalał szyderstwem. Ten nieustanny w istocie rzeczy atak, który od pierwszych nowel obozowych będzie znamionował działalność Borowskiego aż do końca; do śmierci znajdzie wkrótce inny cel i uzasadnienie. Borowski od destrukcji przechodzi z pozoru do działalności konstruktywnej.

Wraca do kraju i oddaje się bez reszty walce o nową rzeczywistość. Jest Borowski przede wszystkim publicystą, jest krytykiem, tworzy też nadal opowiadania. Tylko z poezją bierze rozbrat zupełny. Ukazują się więc książki: „Opowiadania z książek i gazet", „Mała kronika wielkich spraw", „Na przedpolu", „Czerwony maj", które zresztą nie obejmują całej twórczości, zebranej dopiero po śmierci Borowskiego.

O całym tym okresie działalności Borowskiego trudno pisać bez zażenowania. Borowski staje się przecież najbardziej zagorzałym, najbezwzględniejszym bardem stalinizmu. Działa przy tym w największej mierze na polu kultury. I nie da się tego ukryć ani zatuszować; w ten sposób prowadzona kampania była po prostu szkodliwa i to ogromnie szkodliwa. Borowski podziela wszystkie błędy owego okresu i sam jeszcze je wyolbrzymia. Nie czyni rozróżnień: Franco i Tito to jedna parafia, wyszydza i oblewa pomyjami Eliota („mowę Szekspira zamienił w bełkot idioty"), Hemingwaya, Huxleya, Moravię, Tomasza Manna... ta złowieszcza lista mogłaby się ciągnąć długo, nie ograniczając się przy tym bynajmniej do pisarzy.

Niejednokrotnie zastanawiano się nad istotą tej przemiany, która z humanisty uczyniła piewcę wyroków śmierci. Mówi się o cezurze, o przepaści wręcz dzielącej twórczość zamkniętą „Pożegnaniem z Marią" i okres późniejszy. Zapewne, różnice w sprawach merytorycznych są kolosalne: trudno też nie przyznać, że mamy do czynienia z upadkiem. A wreszcie okres ten kulminuje w tragedii: 3 lipca 1951 roku Borowski popełnia samobójstwo. Nic dziwnego, że wszystko to poddaje się nietrudnej interpretacji politycznej: Borowski zbłądził, ujrzał swój błąd i wyciągnął wnioski. Tak w zarysie wygląda najczęściej przedstawiany schemat tych wydarzeń.

Przyznam, że ośmielam się mieć w tej materii zdanie nieco odmienne. Przede wszystkim można mieć wątpliwości czy istotnie zwrot, jaki się dokonał w Borowskim po „Kamiennym świecie" był aż tak zasadniczy. Zwróćmy uwagę, że jego działalność w okresie stalinowskim w nierównie mniejszym stopniu nosiła charakter panegiryczny. Owszem, były i te akcenty, ale w zdecydowanej mniejszości. Większość miejsca wypełniał atak i negacja. Znamienne jest wyznanie Borowskiego — krytyka: „Nie zdarzyło mi się jeszcze, aby autor, o którym pisałem, był mi za to wdzięczny" wypowiedziane nie bez dumy. Ale pan—krytycyzm, pan—negatywizm Borowskiego jest teraz trochę inaczej choć bardzo wyraźnie ukierunkowany: dotyczy świata mieszczańskiego. Natomiast furia samego ataku nie zmienia się ani na jotę. Tyle, że dołączyły się pozytywne principia, których zresztą Borowski, nie drąży ani nie analizuje zbyt starannie. Przyjmuje je niejako na wiarę i w całej rozciągłości. To też zmienia się w samej konstrukcji właściwie jedno tylko: znika dialektyka kata-ofiary na rzecz czarno-białego schematu. I czyż można przejść obojętnie obok okoliczności, że jedynym niemal pisarzem zachodnim, który zasłużył na uznanie w oczach Borowskiego był... Céline?

Stąd nie wydaje mi się, aby można było oskarżać stalinizm o tragedię Borowskiego. Tragedia sama bowiem dokonała się już wcześniej, w latach obozowych, a może nawet przed nimi. Borowski był człowiekiem zdruzgotanym już przed swoją marksistowską konwersją. Wyzbył się nadziei i pozostało mu działanie. Ale pod warunkiem, że ideały, którym będzie służył będą niepodważalne i nieskazitelne.

Borowski był z pewnością najbardziej „czarnym" pisarzem dwudziestopięciolecia. Nie przypuszczam też, aby nadawał się na bohatera pozytywnego naszych czasów. Ale przecież nie o to chodzi. Kto wie, czy bohater tragiczny nie jest więcej wart? W dziejach kultury ważniejsze miejsce zajmie Faust, Hamlet czy chociażby Maciek Chełmicki aniżeli nieskazitelne sylwetki mentorów. A Borowski był niewątpliwie bohaterem tragicznym i to może w największym stopniu tłumaczy wagę, jaką wciąż przywiązujemy do niego. Bardziej niźli szczupłe dzieło mimo partii wręcz znakomitych. Tragedią bowiem jest tym zwierciadłem, w którym każdy czas i kultura pełniej niż w czymkolwiek innym przejrzeć i dojrzeć się musi.

PIOTR KUNCEWICZ

ANDRZEJ GRUN

Krzepkie drzewo

Kiedyś, w jakiejś rozmowie o naszym malarstwie powojennym, pośród narzekań i płaczów nad jego ubóstwem, padło z czyichś ust zdanie: „Nie rozdzierajcie szat, to krzepkie drzewo" Uderzyła mnie wtedy trafność tego sformułowania, „krzepkie drzewo". Nie żadna wybujała sosna na tłustej glebie, ale i nie skarłowacia ła brzózka na jałowym pustkowiu. Po prostu — krzepkie drzewo, rozrosłe w koronie licznymi gałęziami, pełne krążących nim soków, tęgie w pniu, w konarach grube.

Krzepkie drzewo, korzeniami swymi sięgające głęboko w modernistyczną glebę młodopolską, w koloryzm lat trzydziestych, w pokłady awangardyzmu naniesione ze wschodu i zachodu. Stamtąd czerpie życiodajne soki. I wbrew temu co się o polskiej plastyce powojennej pisze, a może mimo tego — plastyka nasza jest organizmem żywym, ciągle młodym młodością twórczą, po prostu — zdrowym. Artykuły Olkiewicza w „Kulturze", kreślące obrazy upadku sztuk pięknych i deprawacji twórców, obrazy szalbierstwa, hochsztaplerstwa, wulgarnego naśladownictwa żurnalowych wzorów, hucpiarstwa, rozpasanego rozchałturzenia, cwaniactwa odnoszą się do licznej co prawda rzeszy naszych plastyków i ich tworów — nie stanowią jednak wizerunku r z e c z y w i ś c i e prawdziwego. Z tymi panami i ich dziełami rozprawi się Czas. Olkiewicza interesuje cały ten cyrk „pseudoartystyczny" raczej jako zjawisko społeczne, socjologiczne i obyczajowe zacierające prawdziwy obraz naszej sztuki, który przedstawia się przecież zupełnie inaczej. I dziwić się tylko należy, iż pośród tych klątw i płaczów zapominamy o wartościach bezsprzecznych, o dziełach niewątpliwych, o twórcach, którym miano to przynależy się słusznie.

* ★ *

Liście z drzewa opadną, kruche gałęzie połamie wiatr — pozostaną konary mocne i twarde, powyginane przez nie jedną burzę, zahartowane w walce o prawo do **swojego** życia. Pozostanie krzepkie drzewo na tle czystego, błękitnego nieba.

* ★ *

Chodziłem długo po salach Zachęty i oglądałem obrazy Aleksandra Kobzdeja. I wtedy właśnie przypomniało mi się owo krzepkie drzewo. Kobzdej — to jeden z konarów tego drzewa. Gruby powykręcany, sękaty konar. Grubszy od innych i jakby wyrywający się z ich gąszczu, ale też bardziej poskręcany, bardziej sękaty. Może mocniej szarpały nim wiatry, może on sam nie zawsze wiedział na pewno czy strona w którą rośnie jest właściwa, do słońca.

* ★ *

Malarstwo Kobzdeja można albo przyjąć albo odrzucić. Określeń „podoba się — nie podoba", „ładne — nieładne" do malarstwa tego stosować nie sposób. Nie podobna jednak nie uznać jego rzeczywistej rangi, polegającej przede wszystkim na oddawaniu na płótnie tego, co jest **obecne, ziemskie, dotykalne.** Stajuda nazwał Kobzdeja poganinem o flamandzkim rozmachu. Nie potrafię myśleć tak jak myśli Kobzdej — malarz, ale **w salach Zachęty pilem** jego malarstwo jak puchar starego wina.

* ★ *

Uczeni od sztuk pięknych klasyfikują Kobzdeja jako „kolorystę". Ja nazwałbym go po prostu malarzem w tym starym, dobrym znaczeniu tego słowa. Malarzem jednak, dla którego decydujące w procesie samookreślenia były nie szlaki parysko-włoskie, a odległe rubieże Azji południowo-wschodniej, kultura zamorskiego Meksyku. Zderzenie polskiego koloryzmu, z którego Kobzdej swój artystyczny rodowód wywodzi, z egzotycznymi kulturami odbiło się i na formie i na ekspresywności treści jego malarstwa. Stajuda ma rację — to poganin o flamandzkim rozmachu, ale ze skłonnościami do kontemplacji.

* ★ *

Kobzdej nie przynależy do żadnego ugrupowania artystycznego. Na mapie powojennej plastyki płynie osobnym choć krętym nurtem rzeka jego twórczości, żłobiąc wyraźne koryto we wszystkich nieomal formacjach artystycznych. Z tej mapy widać, że Kobzdej niejednokrotnie był **pierwszym.** Ale to nie jest najważniejsze. Najważniejsza jest **ciągłość** jego twórczości, nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków.

Kobzdej swoich rewolucji malarskich dokonuje w granicach „środków malarskich". Kobzdej jest klasykiem. Klasykiem w sensie **jakościowego** rozwiązania obrazu. Malarstwo dla niego jest gatunkiem samoistnym i w pewnych aspektach — samowystarczalnym.

Nawet pop-art Kobzdeja ma szlachetność materialną renesansowego płótna.

Można tę koncepcję przyjąć — można ją odrzucić, nie można jej pominąć milczeniem.

Kultura polska w świecie

Żyli z nami w dżungli

Dalszy ciąg ze str. 1

kultury socjalistycznej mają źródło w pięknej tradycji narodowej oraz wywodzą się z najlepszych osiągnięć dawnej i współczesnej postępowej kultury świata, a przede wszystkim z osiągnięć socjalistycznej kultury krajów bratnich.

W ramach współpracy i wymiany kulturalnej między naszym krajem, a krajami socjalistycznymi, współpraca wietnamsko-polska zajmuje ważną pozycję i rozwija się pomyślnie. Nasze narody coraz lepiej rozumieją się wzajemnie; internacjonalistyczne uczucie łączy je coraz mocniej poprzez wzajemne wizyty, wymianę utworów literackich i dzieł sztuki. Szczególnie dla nas cenna jest pomoc Polski w dziedzinie nauki i techniki oraz szkoleniu młodych kadr.

ODGŁOSY — Dość często mamy możliwość oglądania filmów z życia i walki narodu wietnamskiego. Czy jednak w ramach wymiany kulturalnej nie należałoby zwiększyć dopływu dzieł sztuki z Wietnamu, aby poznanie współczesnego życia narodu wietnamskiego było pełniejsze?

HA XUAN TRUONG — Jestem przekonany, że w ramach wymiany kulturalnej coraz więcej wietnamskich utworów literackich i dzieł sztuki będzie przekazanych do rąk polskiego odbiorcy.

ODGŁOSY — Jak można ocenić znajomość kultury polskiej w Wietnamie?

HA XUAN TRUONG — Naród wietnamski, w szczególności literaci i naukowcy, znają dobrze naród polski, którego wielowiekowa kultura wyraża głęboki patriotyzm, umiłowanie wolności i niepodległości. Polska jest ojczyzną Adama Mickiewicza, Kopernika, Marii Curie-Skłodowskiej, Chopina i innych zasłużonych dla nauki i kultury światowej geniuszy, których życie i dzieła są znane w naszym kraju.

Chciałbym powiedzieć Wam, że gdybyście zwiedzali nasz kraj, w spotkaniach z Wietnamczykami moglibyście pytać ich: „czy kochasz Polskę?" Od razu odpowiadaliby na to: „bardzo kocham Polskę!" Ta miłość została wyrażona w wierszu poety To Huu pt. „Polska, Moja Siostro!" Jeżeli kultura przedstawia przede wszystkim kraj i ludzi, to moim zdaniem, można, na podstawie umiłowania i poszanowania przez nasz naród — Polski i jej narodu, ocenić naszą znajomość polskiej kultury.

ODGŁOSY — Jaką rolę w popularyzacji polskiej kultury spełniają literaci i dziennikarze często odwiedzający Wietnam?

HA XUAN TRUONG — Nawet w czasie naszej walki oporu przeciwko francuskim kolonizatorom pisarze, dziennikarze, malarze polscy przebywali u nas, żyli z nami w dżungli. Po zwycięstwie pod Dien Bien Phu oni znowu przyjechali do Wietnamu i wraz z nami byli świadkami wycofania z Hanoi ostatniego żołnierza francuskich kolonizatorów. Także w latach walki przeciwko amerykańskim imperialistom wielu przyjaciół polskich przyjechało do nas. Niektórzy przyjeżdżali dwa, trzy, a nawet — jak na przykład Monika Warneńska — pięć razy. Przynosili nam gorące poparcie narodu polskiego, zapoznawali nas z kulturą Polski i po powrocie do swego kraju dołożyli wszelkich starań, aby pokazać nie tylko w Polsce ale i w skali światowej, dzieło walki narodu wietnamskiego o wyzwolenie ojczyzny.

Pozwólcie mi skorzystać z okazji, żeby w imieniu działaczy kultury DRW przesłać przyjaciołom polskim serdeczne podziękowania i wiele miłych pozdrowień.

ODGŁOSY — W Polsce studiuje sporo młodzieży z Wietnamu. Czy ta młoda kadra zapewni dalsze zbliżenie między obu narodami, przyczyni się do pokonania bariery językowej, geograficznej i obyczajowej?

HA XUAN TRUONG — Polska pomaga nam w wyszkoleniu zawodowym wielu młodych Wietnamczyków. Ta pomoc jest bardzo cenna. Ze swej strony chciałbym powiedzieć, że według naszych zwyczajów Wietnamczycy oddają swoje dzieci pod opiekę i naukę obcym osobom tylko wtedy, gdy mają do nich całkowite zaufanie, takie jakie mają do rodzonych braci. Coraz więcej młodzieży wietnamskiej uczy się w szkołach polskich. To przyczynia się do umocnienia więzi między naszymi narodami.

ODGŁOSY — Jakie są główne kierunki rozwoju dalszej współpracy kulturalnej między obu narodami wynikające z podpisanej ostatnio umowy?

HA XUAN TRUONG — W atmosferze przyjaźni i braterstwa została podpisana wietnamsko-polska umowa o wymianie kulturalnej na rok 1969. Sądzę, uwidoczniła ona w sposób wyczerpujący główne kierunki rozwoju stosunków kulturalnych między naszymi krajami. Jestem przekonany, że na tej podstawie treści umów na następne lata będą bogatsze i bardziej obfite.

Naród polski z radością i entuzjazmem czci 25-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Z tej okazji pozwólcie mi w imieniu działaczy kultury DRW złożyć PZPR, rządowi PRL, narodowi polskiemu i działaczom kultury polskiej najgorętsze życzenia i najserdeczniejsze podziękowania za pomoc moralną i materialną rządu i narodu polskiego dla naszego narodu, walczącego o ocalenie ojczyzny.

Przesyłam mieszkańcom i działaczom kultury sławnego przemysłowego miasta Łódź, redakcji i czytelnikom tygodnika „Odgłosy" braterskie i przyjazne pozdrowienia.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

POLONICA

FRANCUSKI LIST O KRAKOWIE

W paryskim „Le Monde", z 28 maja br. ukazał się obszerny „lettre de Cracovie", napisany przez Claude Lamotte. Jest tu mowa o słońcu wyzłacającym Rynek, gołębie, Wawel i Wisłę, o tłumach przed wystawami księgarskimi, o tradycjach i powodzeniu Jamy Michalikowej, jako kawiarni literacko-artystycznej, o znakomitych daniach restauracji w Hotelu Francuskim, o hejnałach mariackich i starych legendach, o ocaleniu miasta w 1945 roku i odzyskaniu dzieł sztuki, o ołtarzu Wita Stwosza: „Ponieważ zostało uratowane, miasto to ma dziś urok autentyczny i oryginalny. Miasto ciekawe — i to jak! — gdzie średniowiecze sąsiaduje z klasycyzmem, gdzie nieraz w tym samym budynku miesza się gotyk, styl romański, renesans, barok. Miasto, które sobie przypomina, że było stolicą Polski przed Warszawą, w czasach największego bogactwa kraju i które też pamięta, że przed sześciuset laty Kazimierz Wielki założył tu jeden z najstarszych uniwersytetów". Artykuł kończy się obrazkiem z dzisiejszego Oświęcimia. Dwie dziewczynki gonią się wzdłuż linii dawnych drutów kolczastych o kilka metrów od miejsca, w którym podczas okupacji rozdzielano ich rówieśników na grupy przeznaczone do gazu i na inne, zdolne do pracy.

AUSTRIA—POLSKA

Ukazał się kolejny numer czasopisma wydawanego przez Towarzystwo Austriacko-Polskie w Wiedniu. Czasopismo to, które dotychczas ukazywało się pt. „Polska w słowie i obrazie", od obecnego numeru zmieniło nazwę na „Austria — Polska". Numer bogato ilustrowany, zawiera szereg ciekawych artykułów m. in. „Wyspiański i Austria", „Sto lat opery wiedeńskiej", „Pożegnanie Franza Theodora Csokora" oraz fragment z jego książki o Polsce r. 1939 pt. „Na obcych drogach". Ponadto zwraca uwagę artykuł „Chopin i Wiedeń", a także podsumowanie dziesięcioletniej działalności Tow. Austriacko — Polskiego. Numer uzupełnia kronika kulturalna Polski i Austrii.

O WARSZAWIE I KRAKOWIE

W „Neue Zuercher Zeitung" z 18 maja br. poświęcono trzy kolumny niedzielnego dodatku Polsce. Artykuł pt. „Werktag in Warschau — Sonntag in Krakau" (Dzień powszedni w Warszawie — niedziela w Krakowie) wyszedł spod pióra Margit Staber, a rysunki, którymi artykuł ozdobiono, wykonał Hanny Fries. Prawdę mówiąc najciekawsze są właśnie te rysunki, bowiem w opisie zarówno Warszawy jak i Krakowa autor nie wykroczył poza znane (nie zawsze zresztą słuszne) uwagi o miastach tzw. wschodniej Europy, ale nie omieszkał zauważyć, że Polska kształtowała się w orbicie wpływów kultury i cywilizacji zachodniej.

POLONICA

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

Tajemnice dyplomatycznych

19 lipca 1939 roku następca Piłsudskiego, marszałek Śmigły-Rydz w związku z narastającym niedwuznacznie „kryzysem gdańskim" oświadczył — m. in. — korespondentce amerykańskiego czasopisma „News Chronicle";

„Jeśli Niemcy nadal obstawać będą przy swoich planach aneksyjnych — Polska podejmie walkę, choćby nawet bić się miała sama, bez sojuszników. W tej kwestii ma cały naród pogląd jednolity. Jesteśmy gotowi do ostatniego mężczyzny i do ostatniej kobiety bić się o niepodległość Polski. Kiedy mówimy, że będziemy walczyć o Gdańsk, to rozumiemy to w ten sposób, że walka o Gdańsk jest walką o p o l s k ą niepodległość. Gdańsk jest Polsce nieodzowny. Kto kontroluje Gdańsk, ten kontroluje całe nasze życie gospodarcze. Zajęcie Gdańska przez Niemców byłoby działaniem przypominającym dosłownie rozbiory Polski. Z tego względu zarządziłem przed czterema miesiącami mobilizację, gdy tylko pan Hitler wystąpił ze swymi roszczeniami w odniesieniu do Gdańska i Pomorza. Proszę mi wierzyć, że mobilizacja ta nie była jedynie demonstracją. Byliśmy już wtedy do wojny gotowi, gdyby miała być ona koniecznością. Armia polska nie jest armią tak wielką jak armia niemiecka, niemniej jest do armia dobra. W wypadku wojny każdy Polak i każda Polka — bez względu na wiek — staną się żołnierzami polskimi".

Dużo w tym oświadczeniu pustosłowia, niemniej w jednej kwestii Śmigły dobrze ocenił sytuację. Mianowicie w kwestii jedności poglądów całego narodu wobec groźby niemieckiej agresji, aczkolwiek kraj — ogólnie biorąc — n i e z n a ł treści wypowiedzi kandydata na rychłego naczelnego wodza armii strony uwikłanej w rzeczywisty konflikt zbrojny. Kraj bowiem starano się trzymać w niewiedzy. Deklaratywne i — w zestawieniu z faktami — swoiście huczuczne bez pokrycia wypowiedzi Śmigłego przeznaczone były raczej na „eksport". Istnieją powody do przypuszczeń, że Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych zdawał sobie dokładnie sprawę z deklamatorskich jedynie wartości tego rodzaju oświadczeń. Tkwił w nich oczywisty bluff.

21 lipca 1939 roku kabluje von Moltke z Warszawy do berlińskiego MSZ:

„Drugie już z rzędu podkreślenie, że Polska w razie czego gotowa jest podjąć walkę o Gdańsk nawet gdyby zawieść mieli sojusznicy, ma na celu osłabienie wrażenia, jakoby polska gotowość obrony spowodowana została dopiero brytyjskimi gwarancjami. Jednocześnie (postawa ta) ma na celu udowodnienie, że polska gotowość do negocjacji ma określone granice. Nawet moment ogłoszenia wywiadu (ze Śmigłym-Rydzem), zbieżny z przybyciem (do Warszawy) generała Ironside jest — w tym układzie — charakterystyczny (dosłownie: interesujący — przyp. mój, SJ)".

Tu warto przypomnieć, że brytyjski wysłannik gen. Ironside przybywał — przynajmniej teoretycznie (praktycznie pozbawiony on był koniecznych upełnomocnień oficjalnych — przyp. mój, SJ) — dla ustalenia z oficjalnymi czynnikami Warszawy konkretnych zasad wzajemnej pomocy militarnej na wypadek otwartego kryzysu...

22 lipca 1939 roku ambasador Rzeszy w Warszawie, von Moltke, notyfikuje Ribbentroppowi m. in., w związku z konferencją prasową zwołaną przez polskie MSZ w dniu 21 lipca, że

„wypowiedzi Marszałka adresowane są w pierwszej linii do sojuszników, przede wszystkim do Anglii, ich bezpośrednim celem zaś jest zwrócenie uwagi, że Polska w sprawie Gdańska na żadne kompromisy nie pójdzie. (Przy okazji) podkreśla się, że wywiad z Marszałkiem ma mieć szczególne znaczenie dla niemieckiej opinii publicznej i dla niemieckich kół rządzących. Wywiad uchodzi za „ostatnie słowo" Polaków wobec Niemców".

Raz jeszcze tego samego dnia — 22 lipca 1939 roku — von Moltke zabiera głos, telegraficznie zawiadamiając Berlin, że „wizyta generała Ironside (w Warszawie) ma przede wszystkim demonstratywny charakter". Niemcy spostrzegają, że brytyjscy sojusznicy Polski uprawiają swą politykę bardziej w stylu „sztuka dla sztuki" niż w sensie konkretnych ustaleń: „W sprawie rzeczywistego współdziałania między armiami polską i brytyjską niewiele w gruncie rzeczy widocznie było do powiedzenia, o czym świadczy choćby brak odpowiedniego zespołu sztabowych ekspertów technicznych (w tzw. misji gen. Ironside — przyp. mój, SJ).

Rozeznanie niemieckie było niestety raczej prawidłowe. Anglikom — podobnie jak oficjalnym sferom francuskim — nie śpieszno było „umierać za Gdańsk", choć przecież najwyższy już czas był rozumieć, że nie o Gdańsk i nawet nie o Polskę samą zaczyna chodzić w przededniu konfrontacji zbrojnej, do której Niemcy hitlerowskie zmierzały już bez żadnych nieomal osłonek...

Wróćmy o kilka dni wstecz; **10 lipca 1939 roku** wygłosił premier brytyjski Chamberlain swoje słynne, choć niewielu ludziom w ówczesnej Polsce znane in extenso oświadczenie przed Izbą Gmin:

„Z etnicznego punktu widzenia jest Gdańsk miastem niemieckim. Jednakże dobrobyt jego mieszkańców uzależniony jest w wysokim stopniu od polskiego handlu. Wisła jest jedyną drogą wodną, która wiąże Polskę z Bałtykiem, stąd więc port u jej ujścia ma dla Polski zasadnicze strategiczne i gospodarcze znaczenie. Obce państwo, które usadowiłoby się w Gdańsku, mogłoby dowolnie zablokować Polsce dostęp do morza i przez to wywierać na Polskę wpływ ekonomiczny i militarny (...) O prześladowaniu niemieckiej ludności Gdańska nie ma mowy. Przeciwnie: administracja Gdańska spoczywa w rękach niemieckich (...) Utrzymanie status quo potwierdzone zostało i zagwarantowane nawet przez kanclerza Rzeszy — aż do roku 1944 — a to przez układ dziesięcioletni, zawarty przezeń z marszałkiem Piłsudskim (...) Gdy rząd niemiecki (już) w marcu wystąpił z pewnymi postulatami (...) rząd polski dostrzegł, że rychło może stanąć oko w oko z próbami jednostronnych rozstrzygnięć. Rząd polski miał przed oczyma wypadki w Austrii, w Czechosłowacji i w rejonie Kłajpedy. W tym stanie rzeczy rząd polski odmówił wzięcia pod uwagę niemieckiego punktu widzenia i zgłosił ze swej strony kontrpropozycje co do (ewentualnego) rozwiązania problemów interesujących Niemcy. 23 marca zarządziła Polska pewne posunięcia obronne. 26 marca skierowała swą odpowiedź do Berlina. Prosze Izbę o zwrócenie uwagi na te daty. W Niemczech twierdzono często, że to brytyjskie gwarancje ośmieliły Polskę do przeprowadzenia owych akcji. Należy stwierdzić, że nasze gwarancje udzielone zostały dopiero 31 marca. 26 marca nie było jeszcze o nich najmniejszej mowy...

Gdyby wypadki potoczyć się miały zgodnie z (możliwymi) hipotezami — będą mogli Panowie, choćby na podstawie tego, co kiedyś w tej sprawie raz już oświadczyłem, zupełnie jasno zrozumieć, że przypadek nie dotyczyłby tylko spraw lokalnych praw i wolności gdańszczan, notabene niczym nie zagrożonych. Przeciwnie — oznaczałby on zaistnienie spraw o wiele poważniejszych, dotyczących bezpośrednio narodowej egzystencji i niepodległości Polski. Zagwarantowaliśmy, że staniemy u boku Polski w wypadku oczywistego zagrożenia jej niepodległości, zagrożenia które by jej nakazywało stawianie oporu siłami narodowymi. Jesteśmy bezwzględnie zdecydowani obietnicę tę zrealizować (...) Rząd Jego Królewskiej Mości ma już jasny pogląd na to, że ostatnie wydarzenia w Wolnym Mieście poderwały zaufanie i uniemożliwiają aktualnie znalezienie atmosfery, w której polubowne kroki miałyby jeszcze jakiś sens (...). Wierzę jeszcze tylko w to, że wszyscy zainteresowani zechcą zadeklarować swoje zdecydowanie i okażą czynnie takie postępowanie, które zdoła zapobiec wszelkim incydentom w związku ze sprawą Gdańska, mogącym stanowić zagrożenie pokoju europejskiego".

Wędrujący „pan z parasolem", Don Kichot Europy lat trzydziestych, sir Neville Chamberlain, raz jeszcze dawał dowód swej politycznej naiwności, tej samej, która zaprowadziła go przedtem na bezdroża „ratowania pokoju" poprzez „układy monachijskie"...

W Berlinie tymczasem mówiono językiem coraz bardziej niedwuznacznym. Na marginesie rozmowy politycznej z ambasadorem francuskim, panem Coulondre („Odgłosy" nr 26 z 29 czerwca br.) notował von Weizsaecker pod datą **13 lipca 1939 roku:**

„Cały swój gmach (koncepcji politycznych — przyp. mój, SJ) buduje Chamberlain na fałszywych przesłankach. Twierdzi on bowiem, jakoby Niemcy gwarantowały status quo w Gdańsku aż do roku 1944. Współpracownicy Chamberlaina powinni byli dobrze nosami niuchać w aktach, nim swemu szefowi udzielili tak błędnych informacji".

Sprawy te mogły być — naówczas — tajemnicą dla zwykłych obywateli, nie były jednak i nie mogły być tajemnicą dla wytrawnych dyplomatów. Mimo to — za wszelką cenę starano się nadal zamykać uszy i oczy na podobne sformułowania dyplomatów nie

MIECZYSŁAWA WALCZAK

Teatr Ziemi Łódzkiej i jego publiczność

TZŁ nie obchodzi obecnie żadnej rocznicy, ale czy tylko z okazji rocznic pisać trzeba?

Wystarczy fakt, że istnieje od 16 lat, obejmuje swym zasięgiem około 100 miejscowości województwa łódzkiego, znają go dobrze mieszkańcy Kieleckiego, Poznańskiego, Bydgoskiego, Warszawskiego... Ma na swym koncie od czasu powstania, tzn. od maja 1953 roku, 78 premier oraz.... około 2 100 000 widzów.

Wiele sztuk osiągnęło tutaj rekordową ilość przedstawień. I tak np. „Studencka miłość" Dychawicznego — grana była 323 razy „Damy i huzary" Fredry — 272, „Konkury" Piechala — 220, „Balladyna" Słowackiego — 242, „Grzech" Żeromskiego — 247 itd.

Liczby mówią wszystko, zdawać by się mogło, że wszelki komentarz jest zbyteczny, ale nie sposób przecież pominąć milczeniem ludzi, którzy swoim poświęceniem, wyrzeczeniem i ciężką pracą te imponujące cyfry osiągnęli.

Oto jak wygląda ich dzień powszedni. Przed południem próby, po południu wyjazd w teren, późno w nocy powrót. I tak już jest codziennie, od szesnastu lat.

Nie należy zapominać także, iż te liczne sukcesy teatr osiąga nie tylko dzięki ofiarnej pracy zespołu artystycznego. Współtwórcami powodzeń jest personel techniczny: maszyniści, elektrycy, brygadierzy, kierowcy, pracownicy techniczni i inni. Są oni jakby duchami opiekuńczymi, których się nie widzi i nie słyszy, a bez których teatr nie może działać. To oni wyjeżdżają w teren jako pierwsi (na długo przed zespołem aktorskim) a wracają jako ostatni.

Wszyscy ci, którzy zdecydowali się na pracę w zespole objazdowym, świadomie zrezygnowali z laurów, sławy i wygodnego życia, w zamian za wdzięczność ze strony widzów, dla których jest to może jedyne przedstawienie teatralne jakie oglądali, widzów, którzy z niecierpliwością czekają na każdą nową premierę. Każdorazowe pojawienie się autokaru z szyldem: „Teatr Ziemi Łódzkiej" jest dla mieszkańców całej okolicy wielkim świętem. Przywdziewają wtedy odświętne szaty, ale często przychodzą do teatru prosto od pługa, pachnący jeszcze ziemią i polami.

Z entuzjazmem, ufnością i wdzięcznością przyjmują to, co im teatr proponuje, bo to jest „ich teatr". Reagują na wszystko co się dzieje na scenie żywo i spontanicznie. Często dochodzi do anegdotycznych niemal sytuacji.

— Podczas przerwy w trakcie grania jakiejś kryminalnej sztuki prawie wszyscy widzowie wszczęli ze sobą zakłady — „kto zabił?". Wreszcie nie mogąc się doczekać zakończenia, wysłali zą kulisy delegację, która miała dowiedzieć się prawdy.

Innym razem, gdy na scenie odbywał się obrządek zaślubin, po przedstawieniu kilka osób z widowni przyszło życzyć „scenicznym nowożeńcom" wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

— Albo słynna już historia z lampą naftową. W pewnym momencie w trakcie trwania spektaklu zawieszona nad stołem naftowa lampa zaczęła niespokojnie mrugać. Wówczas zupełnie nieoczekiwanie pojawił się na scenie miejscowy strażak z drabiną, przykręcił knot, po czym zabrawszy drabinę spokojnie, jakby nic się nie stało zszedł ze sceny. Przez cały czas akcja sztuki toczyła się normalnie.

— Zdarza się, że „nawalą" reflektory, a publiczność ani myśli zrezygnować z oglądania dalszej części widowiska. Wówczas zostają zainstalowane na proscenium świece lub jeśli to możliwe na salę wjeżdża ciężarówka i oświetla scenę własnymi światłami.

— Kiedyś zespół z powodu śnieżycy przybył na miejsce z dużym opóźnieniem, sądząc że już nikogo nie zastanie. Gdy aktorzy dotarli wreszcie do celu, powitała ich owacyjnie liczna gromada zziębniętych ludzi, a ich pełne wdzięczności i radości spojrzenia zdawały się mówić — „wierzyliśmy, że nas nie zawiedziecie, że musicie na pewno przybyć".

I z pewnością się nie zawiodą. Teatr Ziemi Łódzkiej dociera do najdalszych zakątków województwa łódzkiego, dostarczając mieszkańcom małych miasteczek i wiosek najróżnorodniejszych wrażeń: raz szczery, niczym niekrępowany śmiech, innym razem pełne dramatycznego napięcia przeżycia, które skłaniają do zadumy i refleksji.

Można śmiało powiedzieć, że teatr ten wychował już sobie publiczność i stał się jej potrzebny.

Daje on ludziom nie tylko rozrywkę ale także pełni ważną rolę społeczną, wychowawczą i polityczną.

A i aktorzy traktują swą publiczność na serio. Nie lekceważą jej, starają się o dostarczenie wielu przeżyć, czuwają nad poziomem artystycznym. Robią wszystko, by zapoznać swych wiernych widzów ze sztuką przez duże „S".

Publiczność potrafi to doskonale odczuć i właściwie ocenić. Do dyrekcji teatru przychodzi wiele listów od widzów. Wszystkie utrzymane w serdecznym, przyjacielskim tonie. Oto fragmenty niektórych:

„...Przed wojną — kto z naszej wsi, z naszych czworaków widział teatr?".

„Teatr Ziemi Łódzkiej przyjechał do nas po raz pierwszy — to go uważamy jak swój".

„Po tym przedstawieniu poniosło się po wsi i okolicy takie echo, że ludzie nie mogą się doczekać drugiego przyjazdu Teatru Ziemi Łódzkiej."

„To ładnie, że miasto za naszą robotę daje nam coś dla nauki w różnych kłopotach życiowych i dla rozweselenia... Teraz to już nie opuszczę żadnego przedstawienia TZŁ."

Ze względu na dużą złożoność problemu niezmiernie istotną rolę odgrywa tutaj odpowiedni dobór repertuaru. Teatr ten dla większej części miejscowości jest jedynym, który dociera tam regularnie. Trzeba więc dbać o dużą różnorodność prezentowanych sztuk, aby widz mógł jak najwięcej z tych wizyt skorzystać. Równocześnie nie można zapominać o gustach i zamiłowaniach widza. Odbiorcy spektakli TZŁ cenią sobie najbardziej sztuki wieloobsadowe i kostiumowe. Nade wszystko przekładają komedie i farsy lub wielkie tragedie. Natomiast nie chwytają z reguły współczesnych sztuk problemowych.

Najlepiej zresztą o upodobaniach i gustach tej publiczności świadczyć mogą dane liczbowe. I tak np.: — w minionym sezonie teatralnym „Kaprysy Marianny" Musseta obejrzało 10 631 osób, ilość przedstawień — 53; na 92 przedstawienia „Fircyka w zalotach" przybyło 22 780 osób; „Mieszczanie" Gorkiego — 40 przedstawień — 11 800 widzów; „Psy" Chajtowa (współczesna sztuka bułgarska) grana była zaledwie 23 razy dla 4 930 osób. Dużym powodzeniem cieszą się „Radcy pana radcy" Bałuckiego i Goldoniego „Awantury w Chioggi". Przy doborze repertuaru nie można zapominać także, iż istnieją dwa zespoły aktorskie przygotowujące w tym samym czasie dwie premiery, a więc powstaje problem obsady. Do tego wszystkiego sztuka musi być wartościowa zarówno artystycznie jak i treściowo, a w dodatku — atrakcyjna i kasowa.

Jak widać realizatorzy spektakli mają niełatwe zadanie do spełnienia. Pomimo tego należy bezstronnie przyznać, że poziom tych widowisk, mimo znacznie trudniejszych warunków pracy, jest równorzędny, a czasem nawet wyższy aniżeli w innych łódzkich teatrach. Dlatego dziwnym wydaje się fakt, że Teatr Ziemi Łódzkiej jest traktowany w Łodzi z pewnym lekceważeniem. Być może dzieje się tak dlatego, że TZŁ zbyt rzadko i nieregularnie daje przedstawienia dla miasta Łodzi. Należy mieć nadzieję, że sytuacja ta ulegnie zmianie w nadchodzącym sezonie. Istnieją bowiem projekty, aby w dniach wolnych od wyjazdów grywać w salach łódzkich teatrów, a na własnej, małej i niewygodnej salce stworzyć teatr propozycji. Życzyć tylko należy, by te ciekawe plany nabrały realnych kształtów.

Co przyniesie sezon teatralny 1969/70, pokaże czas. Jeśli chodzi o repertuar, wiadomo na pewno, że w związku z kontynuacją 25-lecia PRL przeważać będą sztuki autorów polskich m. in. „Zemsta" Fredry.

Gdy się mówi o Teatrze Ziemi Łódzkiej mimo woli przypominają się słowa Wojciecha Bogusławskiego — prekursora wędrownej sceny: „Całą Polskę chcę objeżdżać z moim teatrem. W najmniejszych miasteczkach gościć, po jarmarkach reprezentacje dawać, by wszędzie, gdzie mowa polska rozbrzmiewa, teatr polski piękno i dobro szerzył."

Spełniły się Twe marzenia, ojcze polskiej sceny, a Teatr Ziemi Łódzkiej z powodzeniem je realizuje.

Fot. A. Wach

sejfów z roku 1939 (2)

mieckich. Zasady typowo strusiej polityki obowiązywały nadal w rzekomo równorzędnej grze, mimo iż zdeterminowane pozornie słowa padały ówczesnego upalnego lipca nie tylko nad Wisłą ale i w gmachu parlamentu nad Tamizą...

14 lipca 1939 roku zauważa von Weizsaecker w kolejnej notatce służbowej dla swego szefa, Ribbentroppa, z całym odgórnie zaleconym cynizmem:

„Henderson (ambasador brytyjski w Berlinie — przyp. mój, SJ) określił niemiecki pobór rezerwistów jako symptom aktualnej sytuacji. Odpowiedziałem na to, że we Francji i w Polsce podniesiono stan siły zbrojnej o ponad pół miliona ponad normalny stan sił zbrojnych, podczas gdy ogłoszony w naszych gazetach zaciąg rezerwistów tylko to ilustruje, co każda armia przeprowadza rutynowo każdego lata (...) Henderson zwrócił wówczas szeroko uwagę na sytuację ogólną i zakończył wypowiedź oświadczeniem wyrazami ufności w odniesieniu do geniusza politycznego Fuehrera, który niewątpliwie potrafi wszelkie trudności i konflikty rozwiązywać w odpowiednim momencie bez przelewu krwi".

...Tymczasem w Polsce: Ze „świętym oburzeniem" donosił władzom berlińskim z Torunia szpieg niemiecki w kostiumie dyplomaty, pan Graf, w związku z obchodzonym w dniach 25 czerwca — 2 lipca Świętem Morza, iż w inaugurujących uroczystości słowach generała Kwaśniewskiego znalazły się „żądania obrony polskiego Wybrzeża i powiększenia polskiej wojennej floty morskiej". Graf donosił dalej, iż w Gdyni — pod obecność wicepremiera Kwiatkowskiego i wojewody pomorskiego Raczkiewicza — odbyła się 29 czerwca wielka manifestacja z okazji Święta Morza, w której „wzięło udział również 3.000 polskich gdańszczan, występujących z transparentami „Gdańsk był i pozostanie polski". Graf cytował nadto, w tonie „aktu oskarżenia", że „poseł mniejszości polskiej gdańskiego Volkstagu, Budzyński, wskazał na rzekome (!) prześladowanie polskiej mniejszości w Gdańsku i oświadczył, że Polacy gdańscy osiągną połączenie Gdańska z Polską"...

Jednocześnie niemal — 29 lipca 1939 roku — prezydent senatu gdańskiego, Artur Greiser (przyszły rychły „namiestnik Rzeszy" w „Kraju Warty") rozpoczynał z Wysokim Komisarzem Polskim w Gdańsku ministrem Chodackim „świętą wojnę" o... margarynę firmy „Amada/Unida". W obliczu wielu afer bijących w suwerenne prawa polskiego obszaru celnego — polski Urząd Celny w Gdańsku odmówił dokonywania odpraw granicznych towarów tej firmy, kierowanych na tereny Rzeczypospolitej. Z uwagi zaś na wybitnie antypolską i sabotażową postawę celników Wolnego Miasta cofnął im uprawnienia do dokonywania odpraw dla celów eksportu produktów „Amady" do Polski. Greiser uczynił z tego problem na skalę światową i konflikt graniczący — jego zdaniem — z „casus belli". 29 lipca wystosował... „notę dyplomatyczną" w tej sprawie, w której pisał m. in.:

„Jeśli rząd Rzeczypospolitej Polskiej nie chce czynić użytku z możliwości kontroli wspomnianej firmy to jest to jego własną sprawą", jeśli jednak wprowadza ograniczenia wobec gdańskich Urzędów Celnych „to jest to action directe i pogwałcenie (...) umowy z 22 maja 1937 roku (...) Ostrzegam (...), że senat odpowie kontrakcjami". Tak więc senat gdański z Arturem Greiserem, zacietrzewionym polakożercą na czele, coraz bardziej i bezczelniej uderzał w ton suwerena, rozpoczynał przygrywki do uwertury pt. „Heim ins Reich". Każdy środek prowadzący do wyznaczonych przez Berlin celów był dobry. „Zepsucie interesu" gdańskiej fabryce margaryny miało stać się również argumentem do... wezwania „Fuehrera Wielkich Niemiec" o pomoc dla „gnębionego przez Polskę Gdańska".

Oczywiście ani gdański Greiser, ani toruński Graf nie byli sami. Była to już w lipcu 1939 roku akcja zmasowana, rozgrywana na wszelkich możliwych i formalnie niemożliwych płaszczyznach. O najmniejszą choćby wiarygodność „informacji" nikt ze strony niemieckiej już się w lipcu nie martwił: „alibi" dla interwencji Hitlera przygotowywano już za wszelką cenę. Von Moltke z Warszawy uderzył w pierwszych dniach lipca 1939 roku na alarm z powodu... „prześladowań kościelnych narodowościowej grupy niemieckiej" w Polsce. Szły do Ribbentroppa, lądowały na biurku Hitlera relacje o... wybiciu szyby (!) w ewangelickim kościele w Poznaniu. O... potrąceniu jakiegoś pastora przez motocykl. O (kryminalnym) napadzie na jakąś prowincjonalną plebanię. O kradzieży roweru ewangelickiemu katechecie z Szubina. O tym, że jakiś wyrostek rzucił kamieniem w okno parafii protestanckiej w Inowrocławiu. To wszystko miały być antyniemieckie akcje polityczne".

11 lipca 1939 roku ambasada niemiecka w Warszawie donosiła Berlinowi o „szykanach w Poznaniu, Łodzi, Bydgoszczy i Tarnowie", gdzie zamknięto niemieckie „domy kultury". Von Moltke konkludował od razu „jak trzeba": „z dnia na dzień narastające akty gwałtów przeciwko Volksdeutschom (!) wykazują, jak wskutek brytyjskich gwarancji dla Polski rząd polski czuje się aż tak wzmocniony, że nawet nie uważa za stosowne uwzględniać w jakimkolwiek stopniu interesy mniejszości niemieckiej, mimo, iż musi zdawać sobie sprawę z tego, w jak nieznośny sposób obciąża się przez to stosunki niemiecko — polskie"...

Konsul niemiecki w Cieszynie wtórował; „Katowicki Urząd Wojewódzki zabronił dalszej działalności niemieckiemu cieszyńskiemu Stowarzyszeniu Teatralnemu, z motywacją, że jego działalność zagraża bezpieczeństwu publicznemu i ochronie pogranicza.

W podobnym stylu szły w lipcu sygnały niemieckiego konsula we Lwowie, Seelosa.

Był dopiero lipiec. Do momentu miażdżenia polskich słupów granicznych przez hitlerowskie czołgi pozostawał jeszcze na najwyższym szczeblu wtajemniczeń dobrze już znany okres czasu. „Materiały obciążające" należało gromadzić z systematycznym rozmysłem. Rzeczą „dyplomatów" było należycie przygotować grunt. Pęczniały dyplomatyczne sejfy na Wilhelmstrasse w Berlinie...

W tym czasie notyfikował von Dirksen z Londynu **(10 lipca 1939 roku)**: „podżegająca kampania nacelowana na rzekomo planowany niemiecki zamach na Gdańsk została skompromitowana. Tym samym zamknięty został ten nowy rozdział niecnych wrogich usiłowań uwikłania Niemiec w wojnę światową (...) Stosunek do zespołu zagadnień „wojna" jest bardzo różny. Pewna drobna część brytyjskiej opinii publicznej reaguje w sposób wskazujący na histerię; ci ludzie wierzą w każdą plotkę, postulują pomoc polską i rosyjską, osłabiając pozycję rządu w rokowaniach z Rosjanami. Większość reprezentuje postawę bardziej męską i sądzi: jeśli już wojna miałaby okazać się nieunikniona — podejmiemy walkę zdecydowanie, im prędzej tym lepiej, aby jak najszybciej mieć sprawę poza sobą i aby jak najprędzej zaistniała normalizacja stosunków".

28 lipca 1939 roku w brytyjskiej Izbie Gmin zabrał głos sekretarz stanu d/s wewnętrznych, sir Samuel Hoare. Mówił on m. in.:

„W każdym planowaniu rzeczą najważniejszą jest, aby przejście ze stanu pokoju do stanu wojny odbywało się możliwie gładko i w sposób zapewniający prawidłowość działania".

Sir Samuel Hoare żądał — w związku z sytuacją międzynarodową lata 1939 roku — uchwalenia specjalnych kredytów na wzmożenie działalności... informacyjno-propagandowej. Planował „wojenną organizację"... prasy, radia i filmu.

W tym czasie w Niemczech hitlerowskich generał Guderian opracowywał — już nie w sztabie, lecz na konkretnych terenach poligonowych taktyczno-strategiczne zasady pancernego „Blitzkriegu". Był przecież lipiec 1939 roku. Już i dopiero...

JAN GRABOWSKI

Polska biografia Franciszka Liszta

Zafascynowanie postacią Karoliny z Iwanowskich Sayn-Wittgenstein, wieloletniej przyjaciółki Franciszka Liszta i jego niedoszłej małżonki, jednej z „głośnych heroin zeszłego stulecia", zawiodło pisarza do skreślenia jeszcze jednej biografii sławnego artysty. Biografii — powtórzmy — nie zaś pełnej, wyczerpującej monografii, skoro Stanisław Szenic dał w swej książce „Franciszek Liszt", wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy jako kolejny tom w serii „Ludzie Żywi" (Warszawa 1969, stron 561) przede wszystkim portret człowieka, usuwając na dalszy plan muzyka — kompozytora. Ten ostatni, skoro się już pojawia, jest dla pisarza „mistrzem". Znaczy to wiele i nic, określa bez wątpienia stosunek autora do sztuki bohatera książki, lecz w istocie nie powiada nic więcej o tym, co najbardziej kontrowersyjne i być może najbardziej fascynujące — o dziele Liszta. O jego muzyce wypowiedziano tyle sprzecznych ocen, że warto by może było zdobyć się na sąd własny. Bo — jak już ktoś kiedyś powiedział — każdy artysta ma dwie biografie: jedną piszą badacze jego curriculum vitae, drugą opowiada jego sztuka. Cóż, kiedy rzadko który najwybitniejszy nawet pisarz może dysponować horyzontem muzycznym twórcy Jana Krzysztofa, czy u nas autora Spotkań z Szymanowskim, ale ponieważ nie każdy z biografów wielkich artystów ma znów w swej krwi żyłkę szperacką tak jak Stanisław Szenic — nowa jego książka spełni z pewnością oczekiwania tych czytelników, którzy nie pozostają głusi na ów renesans zainteresowania drugą falą romantyzmu w muzyce, jaki jest udziałem naszych dni.

Autor podjął — jako się rzekło — jeszcze jedną biografię Liszta. Określenie to nie jest zupełnie ścisłe. Jeszcze jedną — sugerowałoby: taką jak inne. A przecież napisał inną. Polską — nie tylko z języka, lecz z treści. I to właśnie najlepiej charakteryzuje jego książkę. Nawiązał do słów Jarosława Iwaszkiewicza, który przed laty podniósł, iż obowiązkiem polskiego piśmiennictwa jest uzupełnienie wielkiej luki w biografistyce Liszta, związanej z osobą księżny Karoliny. Okazało się jednak, że udało się mu uczynić więcej, bowiem „i do sylwetki Liszta można z polskich źródeł dorzucić garść wiadomości, które pozwolą lepiej zrozumieć twórczość wielkiego węgierskiego artysty".

Niewątpliwie węgierskiego — wbrew rozlicznym autorytetom — mimo że nie władał on nawet ojczystym językiem. Pisał o sobie: „pozwólcie mi stwierdzić, że mimo mej godnej ubolewania nieznajomości węgierskiej mowy, od kolebki aż do śmierci, w sercu i myśli pozostaję Węgrem...." „Von Geburt bis zum Grabe..." — bo słowa te kreślił w języku większości tych spośród swoich biografów, którzy mu tej węgierskości odmawiają.

Kto by się spodziewał, że polskich spotkań Franciszka Liszta może być aż tak tyle, ile wytropił ich Stanisław Szenic? Galerię Polaków, którzy przewinęli się przez życie artysty otwiera hrabia Atanazy Raczyński, który 5 lutego 1824 roku słuchał jego gry u księcia Orleańskiego w Paryżu. Później przyjdzie znajomość z Chopinem, która przerodzi się w krótkotrwałą wprawdzie przyjaźń, wspólne wizyty artystów w salonach francuskich, no i polskich, jak choćby u Ludwikostwa Platerów. W spokojnej, ustronnej Genewie, dokąd Liszt schronił się przed złośliwymi językami, między jego uczennicami znajdzie się Maria Potocka, w Rzymie organizuje mu koncert Michał Wielhorski, ten sam, którego artysta spotka raz jeszcze podczas swych występów w Petersburgu w 1842 roku. Pierwsze kroki na polskiej ziemi — koncerty na Śląsku i w Poznaniu, triumfalne sukcesy w marcu 1843 roku w Krakowie, następnie zaś entuzjazm society i publiczności warszawskiej. Coraz to nowe podróże i występy wiodą Liszta do spotkania, które miało zaważyć na całym jego dalszym życiu. W styczniu 1847 r. przybywa na kontrakty kijowskie nie przeczuwając, że tam właśnie, na dalekiej Ukrainie odnajdzie nową wielką miłość, której na imię Karolina z Iwanowskich, księżna Sayn — Wittgenstein. Artysta nie zabawił tu długo, rychło podążył do Lwowa, dając po drodze koncerty w miastach i magnackich rezydencjach. „Mój pobyt we Lwowie udał się pod każdym względem do skonale. Nie uwierzyłaby Pani — donosił Karolinie — z jak pochlebną dla mnie życzliwością się spotkałem..." I znów okrężną drogą — przez Rumunię, Konstantynopol i Odessę do Woroniniec, znów rozstanie i wreszcie — spotkanie w Weimarze.

Wątek Franciszek — Karolina zajmuje odtąd naczelne miejsce w książce Stanisława Szenica. Szczęśliwe — mimo wszystkich trosk — były to lata w willi „Altenburg" w Weimarze, owym „często opiewanym siedlisku muz", gdzie księżna czyniła honory domu, przez który przewijało się tyle sławnych i mniej znanych ludzi! Bywali tam również Polacy — tacy jak młody Mieczysław Kamieński, który smalił cholewki do córki gospodyni, jak Stanisław Moniuszko, który z wizyty swej (w 1858 roku) wyniósł podziw dla mistrza, a niechęć do jego przyjaciółki („nieznośna wiedźma, drugi tom „Wietanowej"!), jak poeta Roman Zmorski i tylu innych, pośród których nie wolno zapomnieć o ukochanym uczniu — Karolu Tausigu z Warszawy.

Lata 1848 — 1864, kiedy Weimar był przystanią artysty, choć najszczęśliwsze w jego życiu, nie były wolne od kłopotów. Brzemieniem była nie uregulowana wciąż sytuacja księżnej. Biskup w Fuldzie nie znał dekretu unieważnienia małżeństwa, wydanego przez konsystorz w Petersburgu. Karolina jedzie do Rzymu. Już wszystko zbliża się do szczęśliwego końca — zakończono przygotowania do ślubu, który miał się odbyć rano 22 października 1861 r. Wieczorem, ledwie na kilka godzin przed zapowiedzianym terminem proboszcz zawiadamia, że z rozkazu papieża ślub odbyć się nie może.

Niewiele zaznał Liszt radości w ostatnich latach życia. Przemierzał Europę wzdłuż i wszerz, dyrygował swymi utworami, czasem zatrzymywał się jeszcze w Weimarze, przyjeżdżał do Pesztu, gdzie był prezydentem Akademii Muzycznej. Boleśnie przeżył rozstanie córki Cosimy z Hansem von Buelowem i jej małżeństwo z Ryszardem Wagnerem. Powoli odchodzili jego bliscy i przyjaciele.

Na wezwanie córki wyruszył w ostatnią podróż. Można go było jeszcze dostrzec w głębi loży, 25 lipca 1886 r., na bayreuckiej premierze „Tristana i Izoldy". Odszedł ostatniego dnia lipca — księżna nie przeżyła go nawet o rok.

Autor opracował swą książkę z właściwą sobie sumiennością. Odrzucił wszystko, co w biografii Liszta nie znajdowało źródłowego potwierdzenia, oczyścił ją od legend i plotek, uzupełnił nowym, nieznanym, polskim materiałem. Sprawozdawcy niech będzie jednak wolno zwrócić uwagę na parę drobiazgów. Można mieć więc wątpliwości co do podanej przez autora daty urodzin ojca artysty, mylnej daty premiery „Don Sancha" w Paryżu czy informacji o zaginięciu partytury tego dzieła (jej fragment został nawet reprodukowany w węgierskim wydawnictwie albumowym, poświęconym kompozytorowi). Można zaznaczyć, że obecność Liszta na pierwszym paryskim koncercie Paganiniego jest wątpliwa, że biografię Gabriela Rożnieckiego podaje znany słownik dyrygentów, że wreszcie słowo „dyrektor" w notatce o Rożnieckim oznacza po prostu... dyrygenta.

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH":

- **SPOTKANIE Z POLSKĄ**
- **DLACZEGO WOJNA TRWAŁA 5 LAT?**
- **MIĘDZY NAMI DELFINAMI**
- **KULTURA POLSKA W ŚWIECIE**
- **NOWELA KRYMINALNA**

TELEOBIEKTYW

HARCE NA PRZEDPOLU

Dopiero się zaczął VI Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych. Stał się ten festiwal doroczną prezentacją najlepszych spektakli przygotowanych przez teatry pozawarszawskie z uwzględnieniem ośrodków, w których nie ma studia telewizyjnego. W założeniu tej imprezy leży więc dążenie do wyrównywania dysproporcji w życiu kulturalnym kraju i integracji życia artystycznego.

Jeszcze za wcześnie na ocenę tegorocznego festiwalu. Przyjdzie na to czas we wrześniu. Ale poharcować na przedpolu można. Tym bardziej że i przeciwnik godny się nawinął.

Bardzo lubię „Życie Warszawy" i zaliczam je do najlepiej redagowanych gazet w Polsce. Nie zawsze jednak udaje się mu uniknąć protekcjonalnego tonu w stosunku do tzw. prowincji. Tak rzecz ma się z notami kwitującymi dotychczasowe spektakle nadane w ramach VI TFTD.

Zaczęło się od „Rewizora" wystawionego przez zespół Teatru Nowego w Łodzi. Krytyk z „Życia Warszawy" przesądził dość apodyktycznie sprawę tego przedstawienia: „Był więc ten telewizyjny „Rewizor" zbyt przerysowany, komediowy nieco na siłę, jednocześnie za długi, jak na telewizyjne obyczaje i — nawyki telewizyjnych widzów".

Oczywiście, wolno krytykowi oceniać spektakl zgodnie z własnym subiektywnym sądem, ale chciałoby się znaleźć w nocie sprawozdawczej parę argumentów przemawiających za takim właśnie poglądem. No i chyba przesada z tą długością. Spektakl trwał niecałe dwie godziny, co mieści się w telewizyjnej normie, a z tekstu Gogola nie można przecież robić siekanego kotleta.

Drugi spektakl festiwalowy — „Zielony Gil" w wykonaniu teatru koszalińskiego — spotkał się z życzliwą oceną tegoż krytyka z „Życia Warszawy": „Widać, że zespół aktorski Teatru Bałtyckiego jest pracowity i utalentowany". Pochwała aktorstwa koszalińskich jest równie zdawkowa, jak krytyka łódzkich wykonawców „Rewizora". I ileż tu łaskawego pobłażania w tym sformułowaniu: „pracowity i utalentowany"! „Lubię, chłopcze, żeś mi zwawy", jak by powiedział mistrz Fredro.

Na tym nie koniec. W sprawozdaniu ze spektaklu „Bzika tropikalnego" w wykonaniu aktorów Teatru im. Jaracza z Łodzi ten sam krytyk (podpisujący się literką „K") zamieszcza następującą ocenę: „Przedstawienie interesujące, w reżyserii i scenografii Jerzego Grzegorzewskiego, i — jak to zwykle bywa ze sztukami Witkacego — oparte na możliwie wiernym, a nieprzerysowanym podaniu tekstu."

A więc brawo! Przedstawienie podobało się krytykowi. Ale czytajmy dalej! „Jeżeli tekst, to aktorzy. Chciałoby się o nich słów parę napisać, ba, ale jak?"

W tym miejscu urywa się króciutka ocena spektaklu, a rozpoczyna się utyskiwanie na to, że plansze z nazwiskami aktorów eksponowane były zbyt krótko, krytyk nie zdążył więc zanotować. Nie pominął przy tym okazji, by podkreślić, że chodzi o aktorów „którzy nie są znani szerokiej opinii" (wiadomo, prowincja!), w związku z czym „rzadko dane nam jest ich zapamiętać, nawet odróżnić".

Abstrahując od tonu wyższości, który i tym razem dał wyraźnie znać o sobie, wspomnianemu krytykowi można udzielić prostej rady. Jeżeli istotnie chciał coś pozytywnego napisać o wykonawcach, wystarczyło sięgnąć po ostatni numer „Radia i Telewizji", w którym to piśmie dokumentacja programów jest na ogół wystarczająca. Ale może sprawa nie była warta aż takiej fatygi? O cóż ostatecznie chodzi? O aktorów spoza Warszawy. Albo może krytyk niewiele miał na temat spektaklu do powiedzenia i dlatego wypełnił swoją notkę utyskiwaniami, które zakończył stwierdzeniem: „Piszemy o tym dlatego, że zdarza się to nie pierwszy raz. Dzieje się to z rzeczywistą szkodą dla aktorów, którzy tym razem zasługiwali na słowa pochwały."

Wydaje mi się, że taką sprawozdawczością „Życie Warszawy" robi złą przysługę Telewizyjnemu Festiwalowi Teatrów Dramatycznych. Nie chodzi o pochwały. Dla wykonawców cenniejsze są nieraz słowa rzeczowej krytyki od zdawkowych cenzurek i poklepywania po ramieniu. Jeżeli ta sama tonacja utrzymywać się będzie na łamach gazety przez cały czas trwania VI TFTD, „Życie Warszawy" straci może wiele sympatii u swych pozawarszawskich czytelników, którzy od notatek na temat życia kulturalnego na łamach czołowej gazety oczekują... kultury.

Kończę te harce na przedpolu. Może tylko jeszcze jedna szpilka pod adresem prasy łódzkiej, by nie być pomówionym o pisanie pro domo sua. „Dziennik Łódzki" w sprawozdaniu z „Rewizora" przemianował (za prasą warszawską) reżysera spektaklu na W. Zatwarskiego. Zatwarskiego pozostawmy festiwalom opolskim. Reżyser łódzki nazywa się WITOLD ZATORSKI.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Mało mamy czasu w codziennym życiu na oglądanie się w przeszłość, na wspomnienia, refleksje. Gonimy zadyszani, zaabsorbowani dniem dzisiejszym, spoglądający w jutro, nie mający czasu na wczoraj. Chodzimy co dzień wśród rosnących domów, po zmieniających się ulicach, między tymi samymi ludźmi i nie dostrzegamy nawet przebrażeń, jakie dokonują się wokół nas i w nas.

Jest przywilejem jubileuszy, że skłaniają do refleksji, do zatrzymania się na moment, do obejrzenia za siebie i rozejrzenia wokół siebie. Niecodzienną po temu okazją jest wielki jubileusz 25-lecia naszej ludowej ojczyzny. On sprawił, że zatrzymaliśmy się na chwilę, by ogarnąć wzrokiem to, czego dokonaliśmy przez dwadzieścia pięć lat.

Dopomagają nam w tym środki masowego przekazu, prasa, radio, telewizja, a także film. Z trzech filmów poświęconych przeglądowi dorobku tych lat zmontowany został program, którego główną pozycją jest „TOAST" reż. Jana Łomnickiego ze zdjęciami Bronisława Baranieckiego i Jerzego Gościka oraz jubileuszowe wydanie POLSKIEJ KRONIKI FILMOWEJ i krótki film „ŁÓDŹ-69" reż. Stanisława Grabowskiego, ze zdjęciami Janusza Czecza.

Jeden z naszych czołowych dokumentalistów Jan Łomnicki tym razem pokusił się o film pełnometrażowy. Jest ten barwny dokument próbą przeglądu dorobku miast i wsi we wszystkich dziedzinach życia, jest próbą pokazania Polaka roku 1969 w czasie pracy, nauki, wypoczynku, jest wreszcie próbą pokazania piękna polskiego krajobrazu — gór, morza, mazowieckiej równiny. Jest ten przegląd ubarwiony żywym, dowcipnym, taktownym, nie natrętnym komentarzem. Kolorowy, żywy obraz Polski dzisiejszej skontrastowano z czarno-białymi zdjęciami archiwalnymi zburzonej Warszawy, ze zdjęciami cmentarzy, miejscami walki i męczeństwa o wolną Polskę.

Piękny jest nasz kraj i fotogeniczny. Autorzy zdjęć starali się wydobyć to piękno jak najefektowniej i udało się im to całkowicie. Niektóre kadry filmu mogłyby stanowić autentyczne dzieła plastyczne. Fotogeniczne są pejzaże i wnętrza fabryk, kopalń i hut ze złotymi snopami iskier. Myślę, że wystarczyłoby tego piękna na wiele pełnometrażowych filmów. Ale przecież przede wszystkim chodzi o człowieka. Dlatego do najciekawszych fragmentów filmu zaliczam ten, który ukazuje kopalnię „Jan". Reżyser zastosował tu interesującą koncepcję — tę całkowicie zmechanizowaną, jedyną tego rodzaju w Polsce, kopalnię, jak się ją w filmie nazywa — kopalnię XXI wieku pokazał oczyma starych, emerytowanych górników, których zaproszono do dyspozytorni, by zobaczyli jak jeden człowiek w białym fartuchu, siedząc przy stole dyspozytorskim, mając przed oczyma szereg monitorów telewizyjnych, kieruje pracą całej kopalni, jak nie ruszając się z miejsca widzi wszystko co się na dole dzieje, rozmawia z ludźmi. Błyszczące oczy starych górników, ich uwagi proste, naiwne może, a przecież wyrażające uczucia i wrażenia wszystkich widzów — to był chyba najbardziej przemawiający fragment filmu.

I wydaje się, że tego właśnie trochę filmowi zabrakło: przemian, które dokonały się w ludziach. To dla kamery filmowej temat mniej może fotogeniczny, trudniejszy do pokazania niż przemiany krajobrazu, ale przecież cenniejszy i ważniejszy.

„Toast" poprzedza jubileuszowe wydanie Polskiej Kroniki Filmowej, tym razem barwne. Koncepcja tego jubileuszowego wydania jest podobna do „Toastu" — przegląd dorobku przez wszystkie ważniejsze dziedziny życia społecznego, z przewagą wydarzeń kulturalnych, PKF — jak zwykle dowcipna, inteligentna, błyskotliwa, realizatorzy jakby chcieli powetować sobie tym razem wszystkie poprzednie czarno-białe wydania pokazują wszystko co barwne, żywe, kolorowe. Pewno dzięki temu gdzieś między Ewą Demarczyk śpiewającą w krakowskiej Piwnicy Pod Baranami balladę o Bolesławie, a efektownymi zdjęciami z Dyngusa na Warmii znalazła się fabryka łódzka produkująca barwne tkaniny sukienkowe. Doskonałym, pomysłowym efektem było pokazywanie tych tkanin w sukniach demonstrowanych przez modelki „Telimeny".

I w ten sposób doszliśmy do Łodzi. Między Kroniką a „Toastem" umieszczono krótki film Wytwórni Filmów Oświatowych „Łódź-69". I znów — przegląd, tym razem jednego miasta, jego osiągnięć i potrzeb, perspektyw dalszego rozwoju. I tu, jak w „Toaście", autorzy posłużyli się koncepcją kontrastowania zdjęć barwnych z czarno-białymi, archiwalnymi. Interesującym pomysłem było wmontowanie do filmu krótkich wypowiedzi o Łodzi kilku jej mieszkańców — przedstawicieli życia kulturalnego. Myślę, że słabością filmu jest jego długość, a raczej krótkość. Zbyt wiele mieli autorzy do powiedzenia, zbyt wiele mogli powiedzieć i to chyba sprawiło, że momentami film nie jest zbyt jasny, że chwilami my, łodzianie, wiemy o co chodzi, ale nie wiedzieliby już mieszkańcy innych miast. Łódź w dalszym ciągu czeka na swój film, a może raczej na cykl filmów, które ukazałyby jej architekturę, przemysł, kulturę, naukę.

W sumie ten seans, składający się z trzech pięknych i interesujących pozycji jest nużący, bo są to pozycje o jednej koncepcji i jednej tematyce. Myślę, że byłoby znacznie lepiej i dla widzów i dla wszystkich tych filmów, by były rozdzielone i pokazywane osobno, w zestawieniu z innymi tematycznie pozycjami.

ZASTĘPCA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

FABRYKOWANIE GWIAZD PIOSENKI

Jeden z ostatnich numerów tygodnika „Paris-Match" przynosi interesujące informacje o „fabrykowaniu" gwiazd piosenkarskich. We Francji istnieje bardzo rozwinięta produkcja płyt z piosenkami, a wylansowanie bo

poprzez odpowiednią reklamę o zdobycie 700 milionów franków rocznie, które płaci głównie młodzież, w wieku od 13 do 18 lat, kupująca płyty.

Jeżeli jakaś piosenka stanie się przebojem, przyniesie to producentom płyt 750 tysięcy franków dochodu, jeśli zaś zrobi

wywołują ogromny entuzjazm, czasem graniczący niemal z obłędem, inne zaś mijają bez wrażenia. Artyści twierdzą, że jest to po prostu sprawa większego lub mniejszego talentu powołując się na przykład Aznavoura, który sam jest własnym impresario. Socjologowie próbują rozwiązać zagadnienie od strony społecznej, zaś producenci płyt skłonni są uważać, że jest to jedynie zagadnienie doskonalenia środków technicznych zarówno przy wykonywaniu płyt jak i aranżowaniu widowisk oraz umiejętności przygotowania „bożyszcza" przez odpowiednich impresariów i aranżerów, podając jako dowód wylansowanie w ciągu sześciu miesięcy Mirei lie Mathieu przez Johny Starka lub 16-letniej znakomitej Sheili, która w przeciągu sześciu lat nagrała 22 miliony płyt.

Rzeczywistość nie zawsze jednak zgadza się z owymi teoriami. Wciąż pozostaje tajemnicą czemu jeden piosenkarz lub piosenkarka, czy też określona piosenka, robią zawrotną karierę gdy inni nie zdobywają żadnego sukcesu.

Dalida i odkrywca jej talentu Lucien Morisse, który później jakiś czas był jej mężem.

żyszcza wymaga zazwyczaj wiele zabiegów i poważnych nakładów finansowych. Dość powiedzieć, że 2.364 techników, trzy tysiące artystów stara się

klapę to koszty strat wyniosą 150 tysięcy franków.

Dziś bardzo żywo dyskutowane jest zagadnienie, dlaczego niektóre piosenki

65-LECIE PABLA NERUDY

Pablo Neruda, Chilijczyk, największy poeta współczesny Ameryki Łacińskiej, piszący w języku hiszpańskim, laureat Nagrody Leninowskiej (1953) obchodzi swe sześćdziesięciopięciolecie.

Światowy rozgłos uzyskał wydanym w roku 1924 zbiorem poetyckim pt. „Veinte poemas de amor y una canción desperada" (Dwadzieścia wierszy o miłości i jedna pieśń rozpaczy). W latach 30 przebywał na Dalekim Wschodzie jako konsul Chile. Był następnie konsulem w Buenos Aires i w Hiszpanii. Jest autorem poematu napisanego na cześć żołnierzy republikańskich pt. „Espana en el corazón" (Hiszpania w sercu). Podczas pobytu w Hiszpanii przyjaźnił się z zamordowanym później przez faszystów, wielkim poetą hiszpańskim Garcią Lorcą. Był potem konsulem w Meksyku. Powróciwszy do kraju, nie przerywając swej działalności poetyckiej, był działaczem politycznym i został senatorem z ramienia partii komunistycznej.

Do najważniejszych utworów Pabla Nerudy prócz wymienionych należą: „Residencia en la tierra (Pobyt na ziemi), „Canto general" (Pieśń powszechna), „Las olas y el viento" (Fale i wiatr), „Odas elementales" (Ody elementarne), „Nuevas odas elementales" (Nowe ody elementarne).

60 NIEZNANYCH DZIEŁ TOULOUSE-LAUTRECA

Sześćdziesiąt rysunków Toulouse-Lautreca zostało pokazanych tego lata w muzeum w Albi. Pozostawały one tam w magazynach od roku 1922. Ponad połowa rysunków została wykonana przed 20 rokiem życia artysty. Rysunki te są niezwykle cenne dla biografów Toulouse-Lautreca, pozwalają bowiem na prześledzenie rozwoju talentu i ogromu pracy artysty. Jak się to stało, że rysunki te nie były do tej pory znane?

Otóż pani Toulouse- Lautrec, matka wielkiego artysty, była jedyną osobą w rodzinie, która wierzyła w geniusz młodego Henryka i z całym pietyzmem przechowywała szkice, rysunki i obrazy syna. W jej więc posiadaniu znalazła się olbrzymia kolekcja dzieł młodego artysty, licząca około 700 obrazów, 400 rysunków i litografii. Pani Toulouse-Lautrec na próżno usiłowała ten bogaty zbiór ofiarować któremuś z państwowych muzeów. Żadne z nich nie chciało przyjąć daru. Wreszcie organizujące się muzeum w Albi, mieście rodzinnym artysty, zgodziło się na przyjęcie kolekcji choć również nie bez oporów, gdyż władze miejskie obawiały się, że obrazy artysty mają treść zbyt frywolną, by mogły przebywać w salach byłego pałacu arcybiskupów, gdzie właśnie urządzono sale muzeum.

Od roku 1922, to jest od daty przejęcia daru, muzeum do dnia dzisiejszego znajdowało się w stanie organizacji i przystosowywania sal do ekspozycji. Wszystkie te przyczyny złożyły się na to, że 60 rysunków młodego Toulouse-Lautreca dopiero teraz mogły być udostępnione zwiedzającym.

Dziś muzeum w Albi odwiedza przeciętnie 40 tysięcy osób, a dzieła artysty wypożyczane bywają do różnych krajów świata i to za wysokimi opłatami. I tak np. obrazy Toulouse-Lautreca za opłatą 230 tysięcy franków wysłane były z Albi do Japonii. Ryzyko takich wypożyczeń jest jednak duże. Właśnie w Japonii skradziono ostatnio jeden z obrazów zatytułowany „La Marcelle" o wartości pół miliona franków.

NIEZNANY VAN DONGEN

Płótno „Ja i kobieta" Van Dongena znalazła się na retrospektywnej wystawie tego malarza w muzeum Cantini w Marsylii. Obraz, który nigdy jeszcze nie był eksponowany, jest własnością rodziny Van Dongena.

BYRON I SHELLEY BOHATERAMI FILMÓW

W Stanach Zjednoczonych przygotowywane są dwa filmy o dwóch wielkich poetach: lordzie Byronie i Shelleyu. Reżyserem obydwu filmów jest angielski reżyser teatralny Michael Sarne.

WŁOSKA NAGRODA „STREGA"

Istniejąca od lat dwudziestu literacka nagroda „Strega" nazywana jest przez niektórych włoską nagrodą Goncourtów. W tym roku przyznana została kobiecie. Jest nią Lalla Romano, która otrzymała tę nagrodę literacką za książkę pt. „Le Parole tra noi leggere". Treścią powieści są konflikty między matką a synem.

Lalla Romano urodziła się w roku 1909. Debiutowała w 1953 powieścią pt. „Maria" bardzo życzliwie przyjętą przez krytykę. Lalla Romano jest z zawodu pedagogiem. Mieszka w Mediolanie od roku 1946.

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

KŁOPOTLIWI FACECI

ŻYCIE PISZE SCENARIUSZ — FILM CZY KIEŁBASA? — SPRAWIEDLIWOŚĆ ZWYCIĘŻA! — PRAWO SŁUŻY TWÓRCY — LEKKI CHLEB? — POZIOM BAŁUCKIEGO RYNKU.

Coraz mniej teatrów funkcjonuje w lipcowe upały. Schudły wyraźnie odnośne rubryki w codziennych gazetach — jeszcze tylko „Jadzia wdowa" nas cieszy i „Ballada o tamtych dniach" upolitycznia... Dalej już tylko mamy cyrk wielki „Hesse Revue" i zoo, czynne od dziewiątej do dwunastej.

Jest jednak na szczęście miejsce, gdzie spektakle — od tragedii do groteski — trwają nieprzerwanie, bez względu na porę roku i stopnie Celsjusza. To oczywiście Sąd. Tu nie ma przerw wakacyjnych, tu się gra spektakle według scenariuszy najprawdziwszych, bo napisanych przez życie.

To właśnie na tej scenie wystąpił niedawno pewien reżyser filmowy skarżąc PP „Wydawnictwa Handlu Zagranicznego" o naruszenie praw autorskich. A jak to było — opowiem.

Otóż przedsiębiorstwo dało forsę, a reżyser dał swą twórczą inwencję, pomysł, scenariusz i realizację. Powstał więc film dokumentalny — dzieło stworzone dzięki pieniądzom Instytucji i pracy Człowieka. Aliści — Przedsiębiorstwo zbrojne w przekonanie, że jednostka zerem, twórca pętakiem, a dzieło filmowe zwitkiem celuloidowej taśmy, którą można dowolnie ciąć nożyczkami — zrobiło z gotowego już filmu reklamówkę. Film dokumentalny zrealizowany przez reżysera Jerzego K. potraktowano nie jako integralne dzieło filmowe, lecz jak pęto kiełbasy — pocięto je na kawałki i podano na reklamowym półmisku. Z koncepcji scenariusza, z twórczej pracy wielu ludzi zrobiono „bryk".

Nie pierwszy to i zapewne nie ostatni obrazek tego typu. Dla potężnych Instytucji z zapleczem kont bankowych i armią radców prawnych — twórca jest tylko kłopotliwym facetem, który powinien szybko zrobić swoje i jeszcze szybciej odejść.

W swoim czasie rozpisano konkurs poetycki z okazji pewnej rocznicy. Poeci napisali wiersze — jury przyznało nagrody — nagrodzone utwory włączono do części artystycznej obchodów. Czyli wszystko pięknie... Oprócz jednego. Zapomniano poinformować o tym autorów. Dowiedzieli się z gazet, że dostali nagrody, dowiedzieli się z gazet, że ich wiersze recytowano na uroczystości... Z gazet, bo nikt na uroczystość nagrodzonych poetów nie zaprosił. Czyli — „bierzcie forsę i nie zawracajcie głowy". Do następnego konkursu oczywiście.

Podobnie było z reżyserem Jerzym K. Był potrzebny, bo wiadomo, że nawet najbardziej uzdolniony urzędnik scenariusza nie napisze i filmu nie nakręci. Kiedy wykonał pracę, stał się kłopotliwym facetem. Zwłaszcza że udał się pod opiekę ludowej sprawiedliwości.

I tu czas i miejsce na akcent optymistyczny. Ludowa sprawiedliwość stanęła po stronie pokrzywdzonego twórcy. Powiedziano zatem autorytatywnie urbi et orbi, że owszem, prawo autorskie do filmu przysługuje przedsiębiorstwu, które daje forsę, ale nie wyłącza to praw autorskich ludzi, których twórczość złożyła się na powstanie filmowego dzieła. A zatem niedopuszczalne jest przykrawanie dzieła do doraźnych potrzeb — i to bez zgody twórców.

U podstaw polskiego prawa, konkretnie ustawy o prawie autorskim, leży bowiem zasada, że „prawo autorskie służy twórcy". Natomiast prawa autorskie przedsiębiorstwa finansującego film sprowadzają się do eksploatacji.

Rzecz właściwie jasna jak słońce. Nie do pomyślenia jest przecież, żeby Biuro Wystaw Artystycznych finansujące wystawę malarza pocięło obrazy na mniejsze kawałki, „bo się lepiej mieszczą na ścianach".

Nie do pomyślenia jest przecież, żeby Wydawnictwo wyrzuciło z książki pisarza „opisy przyrody" i „narracje wewnętrzne" — zostawiając tylko wątek romansowy, „bo to bardziej chwyta czytelników"... Do czego byśmy doszli rozumując tak, jak byli łaskawi rozumować antagoniści reżysera Jerzego K.?

W tym wypadku twórcę obronił Sąd. Ale ile jest sytuacji i zdarzeń, w których nie da się zastosować mądrej litery prawa a twórca traktowany jest gorzej intruza? Wyjście jest jedno — tam gdzie zawodzą paragrafy, powinny znaleźć się w użyciu inne reguły — dobry ton, takt, szacunek dla twórczego wysiłku. Na stereotypy o „lekkim chlebie" ludzi tworzących dobra kulturalne może sobie pozwolić przekupka z Bałuckiego Rynku. Ludziom, którzy finansowo czy organizacyjnie w tym dziele biorą udział, do poziomu Bałuckiego Rynku zniżać się nie wolno.

JERZY WIDOK

Bez strachu

W TAKSÓWCE

— Pan wolny?

— Wolny.

— Dzień dobry, jedziemy Nawrot 23.

— Mówił pan „dzień dobry", a to już noc — dobra noc — gwiaździsta.

— Pan uważa, że jeżeli noc gwiaździsta, to dobra? Ja, widzi pan, jeżeli wolno panu się zwierzyć...

— Trzeba się zwierzyć, nam taksówkarzom ludzie zawsze się zwierzają, zwłaszcza w czasie długich nocnych kursów. Taksówka to konfesjonał, a kierowca jest spowiednikiem.

— Więc chcę powiedzieć, że ja odczuwam lęk przed gwiazdami, rodzaj lęku przestrzeni, największego lęku największych przestrzeni. Lęku bilionów świetlnych lat. Lęku bezustannego spadania w nieskończoność. Więcej nie pamiętam, ale więcej doznaję.

— Znam pana lęk — od dwudziestu lat pełzam w moim starym wozie. Czy pomyślał pan o nieistnieniu nieskończoności? Wszystkie linie małego pełzania i wielkiego spadania, wszystkie te linie zaokrąglają się i układają ostatecznie w precyzyjne, kształtne koła. Niech pan zawsze tak myśli patrząc w gwiazdy.

— Ale my już, chciałem powiedzieć pierwsi z nas spadają tam, czy też wzlatują — co sprowadza się do jednego i wcale nie są to koła, chociaż niekiedy przez krótki czas krążą.

— Wie pan, mój samochód zjada benzynę i małą nieustanną przestrzeń. Pana pożerają lęki, które sam pan wytwarza, bo przecież chodzi o co innego, na pewno o coś zupełnie innego. Pan tymi lękami ratuje się przed czymś innym — gdyby to wydobyć, a może to powinno pozostać nie wydobyte. Niech lepiej będą te wymyślone, zastępcze lęki — niech pan nie odrzuca tych kół ratunkowych. Brak samowiedzy — to nas ratuje — ten kto znałby samego siebie musiałby zginąć. A gwiazdy — my je powoli zjemy i strawimy. Pożeramy powietrze, wodę i chleb — życie to bezkresna uczta, kiedyś zjemy nawet gwiazdy, przyszła ludzkość spożyje z mlaskaniem ostatnią gwiazdkę i wtedy będą ludzie tylko pozostający w bezustannym i nasyconym ruchu, ludzie...

— Pan jest mądrym taksówkarzem i bardzo głodnym. Gdybym mógł tak myśleć jak pan zabiłbym w sobie to co we mnie fałszywie demonstruje się jako strach.

— Każdy lęk jest oszustwem — oszustwem nie z naszej woli ale z naszej natury — coś musi zostać zakryte owinięte prześcieradłem strachu.

— Pan jest osobliwym szoferem.

— Jestem szoferem nocnym, moje dni poświęcam książkom, myślom i snom, najwięcej nauczyłem się ze snów — z nich się biorą wszystkie moje prawdy. Jesteśmy już na miejscu. Niech pan zapłaci dwadzieścia dziewięć pięćdziesiąt groszy — tyle wynosi według nocnej taryfy i niech pan w snach i myślach uściśla i ucieleśnia te nocne słowa.

BERNARD SZTAJNERT

LIBBY MACCALL

RECEPTA na zabójstwo

Dokończenie z poprzedniego numeru

— Jedno mieszkanie na tym piętrze zajmuje Maria Rivera. Pielęgniarka, znasz ją? Jest nerwowa i pobudliwa. Wie na pewno wszystko na temat Dicumarolu. Mówią, że w ciągu trzech kolejnych sobót wychodziła z pewnym doktorem i że Carpenter była wściekła. Gdyby właśnie ona zabiła Marię, rozumiałbym, ale... Wiesz co, lepiej wracaj teraz do domu. Przyszedł klient.

Przez cały tydzień Notopolis sprzedawał lekarstwa, zajmował się wypożyczaniem książek, służył tortem i kawą, pilnował interesów. Lecz umysł jego był stale pochłonięty sprawą zabójstwa.

Klienci nie rozmawiali o niczym innym, lecz żaden nie wiedział nic konkretnego. Według powszechnej opinii owa śmierć była wyzwoleniem dla osiedla, błogosławiono człowieka, który się odważył zabić. Wszyscy pragnęli, aby zabójca nie został wykryty. Notopolis myślał jak inni, lecz nie znosił myśli, że nie może rozwiązać zagadki.

Usiłował wyobrazić sobie kuchnię panny Carpenter. Wszystkie kuchnie w osiedlu były do siebie podobne. Oto administratorka siedzi przy stole kuchennym. Twarz ma przesadnie uszminkowaną, włosy uczesane według ostatniej mody, utlenione, sztywne od lakieru.

I nagle mechanizm w głowie Notopolisa zaczął funkcjonować i jedyna możliwość jasno zarysowała się w mózgu aptekarza. Ależ na pewno! Jaki był głupi, że zaraz o tym nie pomyślał!.

Po raz drugi w tym miesiącu dzielny człowieczek okłamał uwielbianą małżonkę. Zatelefonował do niej, aby powiedzieć, że w momencie zamykania apteki zwrócono się do niego z prośbą, aby przygotował pilną receptę. Goniec już poszedł, więc on sam musi dostarczyć lekarstwo. Postara się załatwić to jak najszybciej.

Zamknął sklep i na krótkich nóżkach pobiegł przez ogród aż do wejścia W, gdzie tyle rzeczy już skontrolowano w ciągu ubiegłego tygodnia. Nacisnął dzwonek do mieszkania W3. Jakiś głos zawołał: — Proszę wejść!

Notopolis znalazł Kirsten Schmidlapp w jej fotelu na kółkach, przed telewizorem.

— Steve'a nie ma w domu, proszę pana. Poszedł grać w kręgle.

— Wiem o tym. Chciałem zobaczyć się z panią. Czy pani pozwoli, że zgaszę telewizor? — Notopolis usiadł. — Także w zeszły poniedziałek o tej godzinie brat był w kręgielni, prawda?

— Tak, na pewno. Chodzi tam we wszystkie poniedziałki i spotyka się z kolegami.

— W ten sposób mogła pani popchnąć swój fotel na kółkach aż do mieszkania naprzeciwko i złożyć wizytę pannie Carpenter — i Steve o tym nie mógł wiedzieć?

— Ja, panie Notopolis? Cóż to, bawi się pan w detektywa? Mówi pan prawie tak samo jak ten, który zarzucił mnie pytaniami, w zeszłym tygodniu.

— Zostawmy policję, niech się trudzi dalej. Ja szukam wyjaśnienia tylko dla siebie samego, nic nie powiem tym panom, może pani być spokojna. Niech pani słucha i powie mi, czy się mylę. Poszła pani tam z talerzem tortu na kolanach. Następnie wyjaśniła administratorce, że przynosi tort przygotowany w identyczny sposób jak mój, za co należy się pani nagroda. Panna Carpenter zaprosiła panią do swego mieszkania, aby wypić kawę i spróbować tortu.

— Dlaczego ja? Dlaczego nie jedna z tamtych pań?

— Z bardzo prostej przyczyny. Jest pani jedyną osobą, która mogłaby zjeść tort pełen Dicumarolu bez ryzyka wywołania u siebie wewnętrznego krwotoku, jak to nastąpiło u panny Carpenter. Pani brała ten lek codziennie. A nawet źle byłoby, gdyby go pani nie użyła.

Panna Schmidlapp uśmiechnęła się ze smutkiem. — Spodziewałam się, że prędzej czy później ktoś wszystko wykryje.

— Ale dlaczego pani to zrobiła? Nie rozumiem.

— Ponieważ ta czarownica zwolniła Steve'a. Pod koniec miesiąca byłby już bez pracy. Był za stary, aby szukać innej posady. Był wstrząśnięty i zmartwiony, szczególnie ze względu na mnie. A więc powiedziałam sobie: oto teraz mogę coś uczynić dla mego brata za to, że poświęcił swe życie opiekując się mną.

— Jest tu jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym wiedzieć. Czy naprawdę udało się pani zrobić tort taki sam jak mój?

— Tak. Miałam niegdyś sąsiadkę Greczynkę, kiedy byłam jeszcze młoda. Nauczyłam ją robić strucle, a ona pokazała mi przepis na tort Yaurtoepita. Jest taki łatwy! Łatwiejszy, niż ten, który robią w Niemczech. Lecz trzeba znać sekret: jogurt! Żadnego sera ani twarogu! W ciągu tych wszystkich lat nikomu o tym nie powiedziałam, aby nie zaszkodzić pana interesom. Tajemnicy dochowałam, jak pan widzi, dlaczego i pan nie mógłby jej dochować w sprawie trucizny? Nie proszę oto dla siebie, jestem już stara, umrę może za kilka dni. Lecz dla Steve'a byłoby straszne, gdyby przyszli mnie aresztować.

— Nim pani mi wyznała tajemnicę tortu, przyrzekłem, że pani nie zdradzę. Jednak trzeba pamiętać, że ktoś inny mógłby też domyśleć się tego co ja, to mnie niepokoi.

— Może pan być spokojny. Aby przygotować ten tort, musiałam zużyć mój zapas Dicumarolu z całego miesiąca. Utłukłam dobrze pastylki i zmieszałam proszek z ciastem. Już od tygodnia nie biorę tego leku. Oczekuję z godziny na godzinę ataku serca. Steve odczuje to boleśnie, ale to jedyne wyjście.

— Czy pani zgodziłaby się podpisać zeznanie, na przypadek, gdyby ktoś inny miał być aresztowany? Zeznanie zamknę w mojej kasie ogniotrwałej i nie pokażę nikomu, chyba że musiałbym ratować kogoś niewinnego.

— Zaraz je panu napiszę. Kobieta pchnęła fotel w kierunku stołu i skreśliła kilka wierszy.

— Zrobione. Niech pan to zamknie w kasie. A teraz proszę odejść, zanim nadejdzie Steve i zapyta, co pan tu robi. Dobranoc, drogi przyjacielu!

— Dobranoc, panno Kirsten.

Pan Notopolis złożył starannie kartkę w portfelu i szedł powoli przez ogród w Briarcliff Gardens. Wracając do domu, życzył sobie z całego serca, aby nigdy nie był zmuszony do ujawnienia zeznania umierającej.

Opr. A. S.

RICHARD DEMING

ETYKA

W moim businessie rzadko się zdarza, bym miał dwa zlecenia w ciągu jednego miesiąca. Przeważnie mam ich cztery w ciągu roku, co zaledwie starczy mi na życie. Mam mianowicie kosztowne hobby: dziewczęta. A to jest droga przyjemność. Tak więc powinienem pracować możliwie najwięcej.

Pierwsze z moich ostatnich dwóch zleceń wpłynęło zwykłymi kanałami. Po prostu list adresowany do Spencera Quade, bez podania adresu nadawcy. Wewnątrz znajdowało się 50 studolarówek oraz klucz do zamku Yale. Treść listu brzmiała:

Data: 6 marzec

Czas: 8.30 wieczorem

Miejsce: Mieszkanie 3-c, Grand viev Apt. Sterling Road.

Opis: mężczyzna, brunet, wiek lat 35, wzrost 1,80, waga 80 kg.

Plan: wspomniany człowiek wygra na wyścigach w dniu 6 marca.

W wymienionym miejscu będzie odbierał wygrane pieniądze. Mieszkanie wynajęte jest na nazwisko faszywe, tak że nie potrzeba robić żadnych porządków.

Podpisu oczywiście nie było.

Zawsze było mi przyjemnie znaleźć paczkę studolarówek w poczcie. Odczuwałem z tego tytułu nie tylko radość, ale także i dumę. Wiedziałem, że w moim zawodzie są tacy, którzy dostają tylko zaliczkę np. połowę całej sumy — ale Aranżer miał do mnie tyle zaufania, że zasłużyłem na jego szacunek. Oczywiście, gdybym nie wykonał rozkazu, zwróciłbym całą sumę, lecz nigdy jeszcze się tak nie zdarzyło.

Schowałem starannie forsę, a po południu chciałem odnieść ją do banku. Papier zawierający rozkazy, spaliłem.

To wszystko działo się 2 marca. Około 8 wieczorem ktoś zadzwonił. Otworzyłem drzwi i ze zdziwieniem zobaczyłem Joye Thomasa.

— Dobry wieczór, Speck, czy można wejść?

— Proszę bardzo — nie miałem nic przeciw Thomasowi, ale nie był to też bliski przyjaciel. Był członkiem różnych gangów, ale takich pomniejszych i na ogół pracował dla bukmacherów, tak że znał różne drobne tajemnice zawodu. Ale nie był kimś ważnym.

Chętnie wypił kieliszek whisky — sam, ja nie piję, gdyż nie jest to dobrze dla businessu.

— Przyszedłem do pana w interesie — powiedział Thomas.

Zdziwiłem się. Nie wiedziałem, że jest aż tak dobrze zorientowany w moich sprawach, oczywiście, niejeden się w nich orientował, lecz moich dokładnych funkcji niemal nikt nie znał.

— Skąd pan wie, czy i jakie prowadzę interesy?

— Coś niecoś się słyszało. Chyba się pan nie gniewa, że tu przyszedłem.

— Oczywiście, że nie. Czego się pan tak boi?

Nie chciałbym, aby pan swoją specjalność zaczął prakytykować na mnie.

— Gdybym nawet miał jakąś specjalność, wykonywałbym ją tylko za pieniądze.

Odetchnął. — Pan pracuje dla Aranżera, prawda.

Nie zdziwiłem się, bo Aranżer był znaną personą. Zdziwiłbym się, gdyby Thomas wiedział, kim jest Aranżer — ja sam tego nie wiedziałem.

— No, a jaki ma pan do mnie interes?

— Chcę pana wynająć, Speck.

— Słyszał pan jakieś bzdury. Jeżeli pan ma interes do Aranżera, trzeba iść właściwymi kanałami. Pewnie ma pan jakieś kontakty?

— Naturalnie. Ale jeśli się dogadamy będzie to taniej kosztowało. Możemy wyeliminować pośrednika. Obaj na tym zyskamy.

Poniekąd miał rację.

— A więc o co chodzi?

Nic w moim kontrakcie z Aranżerem nie wskazywało na uprawnienia własnych interesów. Trochę pieniędzy ekstra bardzo by mi się przydało.

— Chodzi o moją żonę, Joan.

Wcale mi się to nie spodobało. Nie lubię mieć do czynienia ze znajomymi, wolę zawsze anonimowe ofiary. A Joan Thomas znałem i nawet dość ją lubiłem. Kilka razy tańczyłem z nią. Była jasną blondynką z zielonkawymi oczami i miłym uśmiechu.

— Myślałem, że jesteście dobrym małżeństwem?

— Ona zanadto zadaje się z Gypem Fallonem. Nawet tego nie ukrywa. Więcej nocy spędza u niego niż w domu.

— To czemu się nie rozwodzicie? — spytałem.

Dalszy ciąg nastąpi

Lewym okiem

POPATRZEĆ NA BLIŹNICH...

Genialny detektyw, Sherlock Holmes, jednym rzutem oka dostrzegał nie tylko zawód mijającego go właśnie przechodnia, ale także wiele szczegółów jego biografii, a nawet zasadnicze cechy charakteru. Czy próbowaliście kiedy, siedząc samotnie w parku wielkiego miasta o niedzielnym przedpołudniu, albo na deptaku modnego uzdrowiska w dzień niezbyt pogodny, taki sobie, spacerowy — zabawić się w takiego Sherlocka na własny, relaksowy, bezinteresowny użytek?

O melancholii ludzi, stojących przy ścianie, pisał już Tuwim w jednym z najwcześniejszych swoich wierszy pod takim właśnie tytułem. Są też melancholijni spacerowicze. Idą zawsze we dwoje, są młodzi, trzymają się za mały palec i smucą się bezgranicznie. Nie płoszcie ich smutku. To przecież para zakochanych, i to chyba całkiem na serio i absolutnie nie nowocześnie. To duże szczęście: zakochać się, i wcale nie każdemu się udaje. Wzajemność raczej nieważna. Jest to szczęście tak duże, że aż się robi smutno — że się zaraz może skończyć, albo że to nieprawda, że za moment coś wyskoczy, obudzi, wyśmieje. Niewesoło. Zakochani są smutni i milczą. O czymże gadać?

Jeżeli nie trzymają się za palec i nie wspierają wzajemnie ramionami w pozycji, grożącej co krok runięciem w pył — oczywiście w przenośni, bo aleje w parkach i na deptakach dawno już gruntownie zabetonowano, że nawet w klasy grać nie można, nie mówiąc o skakance i szlachetnej, męskiej grze w pikuty — jeżeli on idzie pół kroku przed nią i tylko czasem obejrzy się strojującym piorunowym wzrokiem, to już, proszę Was, nie zakochani. To małżeństwo, i to młode małżeństwo. Starsze, takie około srebrnego wesela, też ze sobą w parku nie rozmawia, ale się już nauczyło cenić pozory, które mają swoją wagę w życiu i kropka. Tacy idą przykładnie razem, nudzą się jak mopsy, on strzyże oczami po różnych mini, ona ogląda z pogardliwą dezaprobatą fatalny gust kobiet, przejawiający się w ich idiotycznych toaletach. Zły gust mają, jak wiadomo, wszystkie kobiety w parku, a tylko sam obserwujący podmiot umiałby się ubrać, gdyby go było stać. Ech, zmarnowane życie...

Później, po srebrnym weselu, małżonkowie już znowu mają o czym ze sobą rozmawiać. Okazuje się bowiem, że nielatwo jest znaleźć słuchaczy w obcym, złym, coraz gorszym świecie. Jeszcze tylko własna „stara" doceni głębokie aforyzmy o polityce i życiu, tylko własny „stary" wysłucha cierpliwie recepty na zrobienie garsonki ze starego palta oraz wywodu o dzieciach, psutych przez rodziców.

Są też w parkach ludzie zażenowani wolnym czasem, próżnującymi rękami. Tęgie niewiasty, przywykłe do kilkunastu godzin nieustannej krzątaniny dzień w dzień, od tylu lat, świątek piątek — nagle na wczasach idą zwyczajnie, powolutku aleją i nikt niczego od nich nie chce. Nic do niczego nie przynagla. Dziwaczna, historia. Celebrują to swoje nieróbstwo ten spacer — jak nowy, w jakims sensie obowiązujący, rytuał. — Jakie piękne te kwiaty, niech pani patrzy — mówi jedna do drugiej, obie cmokają z zachwytu chociaż kwiat jest całkiem byle jaki. Wszystko jedno. To jest Piękny Kwiat, w parku mówi się przecież o kwiatach i o powietrzu. — Czuje pani, jak tu się przyjemnie oddycha?

Była taka piosenka: w czasie deszczu dzieci się nudzą. Słowa oczywiście nieaktualne. Dzieci nudzą się w czasie pogody, kiedy rodzice na siłę zabierają je do parku. Kogo można zabrać na siłę? Człowieka do lat pięciu — sześciu. Dzieci powyżej tej granicy w parkach nie ma. Przeciętna wieku spacerowego podnosi się i oscyluje chyba około pięćdziesiątki. Młode roczniki siedzą przed Klossem, Kildarem, Świętym, muszą być bez przerwy rozrywane, puszczają płyty, gdy podrosną — idą na piwo. Spacer jest nudny. Daj Boziu deszcz, żeby Dzidzia nie musiała iść na spacer! Albo przynajmniej daj tranzystorek, żeby rozrywało, żeby jęczało, zgrzytało, bębniło, żeby nie trzeba było stawać jak kto głupi przed byle kwiatkiem i co — i może jeszcze wąchać, co?

Więc nie ma w parkach dzieci, tak jak nie ma żołnierzy i studentów. Z wyjątkiem krakowskich Plantów. Dlatego jeśli mogliśmy co nieco poplotkować, to tylko o starszych paniach. Samotnych panów nie widać. Są schowani za płachtami gazet. Robią w parku to, co mogliby w domu. Frajerzy. Nie lepiej popatrzeć na bliźnich, podumać?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (redaktor techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Włodzimierz Stokowski (z-ca red.naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1657 B-12.